ZESZYT POŚWIĘCONY WIELKOPOLSCE.

ILUSTRACJA POLSKA

DWUTYGODNIK „PLACÓWKA" dawniej „WIEŚ I DWÓR"

ZESZYT I—II. STYCZEŃ 1920 R. Cena zeszytu Mk. 15.—

ROK IX. WARSZAWA, 15 STYCZNIA 1920 ROKU. ZESZYT I — II.

ILUSTRACJA POLSKA

„PLACÓWKA"

(dawniej „WIEŚ i DWÓR") — DWUTYGODNIK.

Wnętrze katedry poznańskiej.

Fot. ze zbiorów Pol. Tow. Krajoznawczego.



Katedra gnieźnieńska. Fot. ze zbiorów Pol. Tow. Krajoznawczego.

Ignacy Grabowski.

GOPŁO.

Praźródłem polskości jest Gopło i okolice. Odczuł to najgłębiej największy z naszych emocjonalistów Słowacki, dając temu wyraz w „Goplanie". Drugi jego arcytwór, pełen kolorów o niedoscignionej sile—Lilla Weneda, wskazuje na fakt kapitalny dla dziejów Europy środkowowschodniej, na walkę rasową Słowian z Niemcami. Słowacki idzie razem, jednym gościńcem z całą historjozofją polską. Genjalna intuicja i rzeczywistość doświadczenia zgadzają się najzupełniej.

Ogarniając szerokie perspektywy dostrzegamy, że nawet dzielnice dzisiaj tak rdzenne, tak nacjonalistyczne, jak Mazowsze i Galicja, spełniały funkcję kresów. Mazurowie pomięszali się mocno z Prusakami i Jadźwingami, Białochrobacja (Galicja) uległa wpływom czeskim od Zachodu, rusińskim od Wschodu. Prąd germanizacyjny, który zdołał zniemczyć ogromne połaci słowiańszczyzny od Lubeki do Wrocławia, zatrzymał się na Wielkopolsce. Wielkopolska odparła atak kultury germańskiej. Co to znaczy? Myślę, że niewiele osób zdaje sobie sprawę z gatunku tego zwycięstwa.

Polska Jagiellonów przyłączyła wielkie obszary na Wschodzie, Polska Batorego i Wazów logicznie musiała ich bronić. Były to nieustanne walki orężne, śród których kultura polska rozcieńczała się w rzekach obcych ludów i na ogromnych przestrzeniach. Typ Polaka przez krzyżowanie się z Białorusinami, Czarnorusinami i zmienną kalejdoskopowo ludnością Ukrainy, zbaczał coraz więcej od swej linji rasowej. Nie postrzegając się, nabierał pochyłości wschodniej. I nabierał cechy wspólnej wszelkim metysom to jest połowiczności: umieć nie chcieć, a nie umieć chcieć, co oznacza kompromisowość i bierność w życiu politycznem. Tylko zasadniczym, przyrodzonym, rasowym faktem można objaśnić gwałtowny, niesłychany upadek myśli polskiej na schyłku stulecia XVI. Po złotym wieku i iscie karmazynowym rozkwicie — brudna, głupia, międzynarodowa karczma, rodzaj ciemnego średniowiecza. Takie średniowiecza powstają zawsze, gdy do narodu dostanie się wielka ilość obcej i gorszej gatunkowo krwi.

Wielkopolska bardzo mało uczestniczyła w polskim Drang nach Osten. Wschodnia mistyka bierności nie dotknęła prawie wcale województw wielkopolskich. Krew piastowa pozostała tam najczystsza, a jeżeli mięszała się z niemiecką, wytwarzała produkt energiczny, zdolny do rozszerzania życia.

Walka Wielkopolski z Niemcami miała charakter walki kulturalnej, wnętrznej. Walki orężne mogą być walką dwóch barbarzyńskich gromad, prowadzonych przez Atyllę i Alaryka; walka kulturalna to spór Bolesława Chrobrego z Fryderykiem Rudobrodym o lepsze pojęcie cywilizowanego życia. Jest to współzawodnictwo dwóch tronów cywilizacyjnych, stwierdzające rzeczywistą zdolność obu do życia suwerennego.

Taki charakter walki wydał doniosłe skutki. Nawet pod szatą i przywyknieniami szwabskiemi, pod młotem szkoły niemieckiej iskry polskie, iskry rasowe, zachował wielkopolanin w zupełnej czystości. Nawet ci, którym trudno wysłowić się mową polską, którzy ją kaleczą, nawet ci, którzy tylko po niemiecku mówią. Jak Szaweł olśniony prawdą, staje się Pawłem, tak i dzisiejszy wielkopolanin walczy w szeregu nieugiętych apostołów polskości, wróg frazesów, od jakich roi się w mózgu zmoskwiczonego lub zaustrjaczonego polskiego metysa.

Przytoczę kilka faktów kapitalnych.

Pierwszy. Tu urodził się Kopernik, prawodawca nowego swiata pojęć dla całej kultury nowożytnej.

Wtóry. Tutaj urodził się Staszyc, pierwszy mąż stanu Polski odnawiającej się.

Trzeci. Tutaj w osobach Cieszkowskiego, Trentowskiego i Libelta położono kamień węgielny filozofji polskiej, której budowa przypada na borg nadchodzących pokoleń. Bez filozoficznego punktu wyjścia żaden naród nie zdobędzie się nigdy na szeroko-światową państwową organizację.

Czwarty. W atmosferze Wielkopolski wyrósł Henryk Dąbrowski, wódz legjonów, na wodza z parenteli Żołkiewskich i Czarnieckich, nie partyzant ani konspirator, ale wojskowy wyborny, smiały, prawdomówny, niepodległy, gardzący blichtrem, doskonała emanacja indywidualizmu polskiego.

Dla wszystkich powodów rzeczonych Wielkopolska ma prawo historyczne, śród dzielnic polskich, nazywać się tak, jak się nazywa.



Maciej Wierzbiński.

WIELKOPOLSKA PRZED WOJNĄ I PO WOJNIE.

Warszawa nie znała dotąd Poznania. Słupy graniczne, jakie rok temu jeszcze dzieliły dwie te dzielnice, odgrodziły jednocześnie chińskim murem dwa społeczeństwa, żyjące pod inną ciemną gwiazdą, i wytworzyły się dwa odmienne typy Polaka, z których jeden coraz więcej przestawał rozumieć drugiego.

Oczywiście zajmowano się nad Wisłą tem, co druty telegraficzne i poczta przynosiły z nad Warty, zwłaszcza, że były to wiadomości alarmujące o coraz to nowych ofenzywach armji hakatystycznych na polskość. Notowano rozliczne szykany władz administracyjnych, praktyki komisji kolonizacyjnej, projekty nowych ustaw „wzmacniających“ niemczyznę zagrożoną i debaty nad wywłaszczeniem, jednakże — bądźmy szczerzy! — ubolewania nad niedolą ziemi wielkopolskiej brzmiały konwencjonalnie, gdyż nie odczuwano głębokiej, czarnej topieli w jakiej zabór pruski był pogrążony niemal beznadziejnie.

Prawda, wóz Drzymały zelektryzował szerokie warstwy, uzmysłowił coś niecoś z położenia ludu polskiego w opancerzonej pięści pruskiej, a strajk szkolny we Wrześni, martyrologja dziatwy i procesy matek dreszczem zgrozy przejęły zbiorową duszę Warszawy, przemówiły do jej serca. Jednakże po rzadkich tych i zapomnianych momentach wzruszenia interes ogółu odwracał się gdzieindziej, skupiał na własnych troskach i nie stało Warszawę na to, by wcielić się w położenie Wielkopolski. Snadź nie mogło być inaczej.

Że tak było, okazało się podczas wojny. Gdyby bowiem Królestwo było rozumiało co to znaczy dla Polaka żyć pod znakiem czarnego orła, po zajęciu Warszawy przez Niemców nie byłoby znalazło się tutaj tak wielu Polaków, a między nimi niemało polityków, którzy złożyli dowody, że nie znają Niemców i nie doceniają wcale ogromu niebezpieczeństwa niemieckiego. Wiedzieli oni, że pod Moskalem żyje się bardzo źle ale nie wiedzieli, że pod Prusakiem się umiera.

I z drugiej, wielkopolskiej strony nie odczuwano wcale Warszawy. Poznań, odcięty od niej i światłodajnych środowisk polskich, chwilowo, na skutek celowej polityki pruskiej i w sieci innych interesów ekonomicznych uwięzły, zwrócił swe oblicze ku Berlinowi, od którego szły gromy. Wisiała nad nim zmora idei niemieckiej to znaczy germanizacji i proletaryzacji. Broniąc się przeciw wciskającej się nawet szczelinami do domów germanizacji, poszedł on za głosem instynktu samozachowawczego i z całą siłą żywiołową podjął walkę o byt. Kwestja chleba wysunęła się tam na czoło zadań ogółu.

Jak zabór pruski bronił się przed upadkiem materjalnym, ile zdziałał o własnej sile na polu ekonomicznem, jakie wielkie, rozgałęzione stworzył instytucje — ogólnie wiedziano. Zdobył sobie tu zasłużony tytuł do uznania.

Niestety, życie popłynęło jednem wązkiem korytem. Pieniądz stał się niemal wyłącznym celem zabiegów, podobnie jak w Ameryce, a w ciasno-materjalistycznej, przyziemnej pojęciowości uświęcił ogół wielkopolski ojciec i patron „Spółek zarobkowych“ ks. prał. Wawrzyniak, błogosławiąc niejako groszoróbstwu filistra, który w wyjałowionem kulturalnie środowisku zapanował na całej linji i przeciwstawił się pięknym porywom i dążeniom ducha.

Na ten stan rzeczy wpłynęły różne okoliczności, a mianowicie to, że na schyłku zeszłego stulecia ton nadające w społeczeństwie ziemiaństwo, pielęgnujące tradycje narodowe, wypuściło

ster spraw z rąk i oddało go drobnemu mieszczaństwu, pozbawionemu kultury polskiej i idealniejszego polotu. A niebawem młoda generacja ziemiańska przystosowała się do nowego hasła tak doskonale, że idąc z mieszczaństwem w zawody, postradała tradycyjne cechy swych ojców.

Atmosfera przedwojennego Poznania była nadwyraz duszna, więzienna. Królował tam policjant, symbol najautokratyczniejszej pod słońcem państwowości pruskiej, czuwający nad każdą myślą poddanych, oraz pogodzony ze stanem rzeczy filister. Młody ziemianin robił tam wielokrotnie wrażenie junkierstwem zarażonego człowieka, a przeciętny obywatel — Niemca źle na polskie przetłumaczonego. Od dziecka prowadzony na postronku *drill'u* pruskiego, modelował się bezwiednie na metodę niemiecką, kurczył duchowo, karłowaciał. Zapatrzony w Germanję jak w słońce, gdzieś w podświadomości nosił przekonanie, że na świecie rządzić mogą tylko takie hasła jak „siła przed prawem“, „każdy ma tyle prawa ile ma siły“ i wierzył, że „Deutschland“ jest nie bez dobrej racji „über alles“. Bo chorobliwą autoadoracją dotknięty Prusak wmówił weń, że jest najdoskonalszym a nawet jedynie doskonałym tworem boskim. Na szczęście, obok zwykłego zjadacza chleba, były jednostki noszące w piersi iskry świętego buntu.

Poznań był nieszczęśliwem miastem — miastem prowincjonalnem bez swej stolicy, skąd promieniowałyby na niego wszystkie blaski. Od Warszawy — dzieliła go przepaść, a do Berlina ciągnęły tysiączne interesy i względy. Na owym Berlinie wzorowało się życie w znacznym stopniu; germanizowały się obyczaje, umeblowania i kuchnia polska, germanizowała się pojęciowość.

A gdy wojna odsłoniła głębiny psychiki ludzkiej, okazało się, że nie brak nad Wartą ludzi, którzy nie tylko wierzą, iż genialna organizacja niemiecka musi odnieść zwycięstwo, ale pragną, by je odniosła, by życie szło dalej tym samym szlakiem pod opieką policjanta, wśród korzystnych dla agrarjusza warunków ekonomicznych, w których wraz z całą niemczyzną, ku ubolewaniu Prusaka, obrastał także w pierze cichaczem wzgardzony Polak. W toku wojny były momenty, gdy germanofilstwo zuchwale panoszyło się na arenie publicznej i chichotało urągliwie w oczy „radykałom“ polskim, dostarczając dowodu jak upodlająco działa — niewola.

Na szczęście ród „radykałów“ przetrwał długą, czarną epokę strasznego pognębienia, ucisku i sromu, czuwał nad zdrowiem duszy zbiorowej Wielkopolski i pielęgnował polskość, która w szerokich warstwach tkwiła głęboko ukryta pod powłoką przez życie narzuconą. Podtrzymywały ją szykany pruskie i praca oświatowa, a tłumiła beznadziejność położenia żywiołu polskiego. Bo czyż było można marzyć, aby runęło najpotężniejsze państwo? Aby pękła obręcz żelazna tyrańskiej przemocy i wybiła godzina dziejowego porachunku?...

* * *

Raptem przyszło trzęsienie ziemi, zawył huragan i świat w bycie swym zagrożony zwarł się do obrony i krucjaty przeciwko smokowi teutońskiemu. Na ołowianym smutnym widnokręgu wielkopolskim pojawiła się jutrzenka i zrazu nie chciało się ludziom wierzyć, że to może być jutrzenka wolności. Samo to przypuszczenie wydawało się zbyt śmiałem, aby mogło być prawdziwem. Nadzieja roztoczyła nad Poznaniem swe ożywcze blaski i ze skorupy na poły niemieckiej poczęły wynurzać się rogi polskości. Jakieś dawniej milczące struny jęły grać w duszach, ludzie odważali się ukradkiem oddychać śmielej, śnić pokątnie, rozprężać członki długo w kleszczach więzione. Nowe czasy przynosiły nowe myśli. Dusza Wielkopolski odradzała się pod wpływem młodzieńczych, potężnych dreszczów.

I nagle — było to w dzień przyjazdu Paderewskiego — zerwała się z nizin społeczeństwa burza, nastąpił żywiołowy wybuch nienawiści do podłych ciemiężców. Jednym przepysznym gestem lud poznański wymierzył policzek niemczyznie i rzucił się odruchowo na oprawców, zmiótł ich na śmietnik. Był to przewspaniały, jedyny, historyczny akt w dziejach tej dzielnicy! Zawdzięcza go ona znów ludowi, którego zdrowy, krzepki instynkt narodowy ujawnił się w tych dniach wielkich, tak jak ongi, w r. 1848, gdy lud ten, wbrew politykującej inteligencji, nie idąc na lep słodkich uśmiechów bezradnego Berlina w tarapatach, wołał: prowadźta nas na Prusaka! i sam rwał się do korda.

Prąd galwaniczny przeszył Wielkopolskę, z radosnem: „niech żyje!...“ biegł, hen, lud na boje jak w taniec i, gdyby znów chłodna rozwaga inteligencji nie była hamowała ognistego porywu i rwącego potoku, linja demarkacyjna dziś sięgałaby dalej. Nietylko linja demarkacyjna, może także granice...

Bądź co bądź, zaczęła się nowa era. Śmiałym odruchem zrzuciwszy z siebie kajdany, Wielkopolanin stał się panem na ojczystej ziemicy. A przedtem już — od chwili rewolucji w Niemczech — podniósłszy głowę w górę, począł zagospodarowywać się u siebie. Rozbudził i zmobilizował jaknajszersze warstwy całego zaboru pruskiego przez wielki sejm dzielnicowy i powołał do życia komitet, który ujął w ręce ster spraw i ich egzekutywę. A snadź Wielkopolska urządziła się dobrze, jeżeli machina społeczna funkcjonuje tam tak prawidłowo. Prawda, że ogół cały pomagał komitetowi, poddając się radośnie rozporządzeniom swej władzy — polskiej władzy. Zmysł organizacyjny i duch obywatelski podały sobie dłonie na dobro i chlubę Wielkopolski.

Stało się to poniekąd także dzięki spuściźnie po czasach pruskich, a mianowicie dzięki rdzennej harmonji i zwartości całego społeczeństwa,

w którem nie było rozbrat wnoszących partji, lecz jedynie — byli Polacy.

Obserwując fizjognomję Poznania zbliska, da się zauważyć, że włóczyły się w nim, a może jeszcze włóczą ślady długoletniej tresury pruskiej i kwestje legalności i formalności krępują ruchy. Więc trzeba było długich namysłów, nim usunięto ohydne pomniczyska Hohenzollernów i Bismarków, podczas gdy Warszawa nie ścierpiała u siebie nic podobnego ani chwili.

Nadto zda się że oko w oko z wysokimi urzędnikami berlińskimi tracą notable poznańscy coś niecoś ze swej pewności siebie i skłaniają się do ustępliwości wobec wczorajszych władców. Wogóle Polacy są zbyt uprzejmi dla obcych, a zamało uprzejmi dla swoich. Więc nawet dla Prusaków mają względy. Stąd poszło, że n. p. w rokowaniach z niemieckimi oficjalistami w Toruniu ośmielili się ci Prusacy z dawną a niewczesną butą dyktować Polakom swe warunki. I nie wywarło to nawet w Poznaniu wzburzenia! Bo pozostało tam jeszcze w kościach nieco respektu dla „wybranego narodu“ niemieckiego. A zapominać nie trzeba, że żywioł teutoński pogardza z głębi swej duszy wszelką słabością, a wielbi wszelką siłę i stanowczość.

Wszystkiego trzeba się nauczyć. Wczorajszy niewolnik zaś nie miał jeszcze czasu wyszkolić się na rządzącego. Nie zawsze przeto dorasta do swej roli. Niekiedy razi on nas, istotę rzeczy zastępując pozą. Gra rolę pana, ale nie jest nim jeszcze, bo nie był nim wczoraj. Ale są to przywary ogólnoludzkie, śmiesznostki i trochę niesmaczne, lecz nie grzeszne rysy na fizjognomji człowieka, powołanego nagle z nizin do wielkich rzeczy i do występów na szerszej arenie.

Jednakże w obliczu piętrzących się przed nim zadań stanął Wielkopolanin z całą powagą i świadomością tego, że przychodzi mu budować Polskę. Jest z tego dumnym i zdradza ambicje zacne. Jakoż, nie ociągając się, powołano do życia uniwersytet, o jakim śnił Karol Libelt. Inauguracja nastąpiła bez nadzwyczajnej pompy, natomiast postarano się o wyborowe siły profesorskie i, chcząc zaćmić inne wszechnice, etablowano katedrę języka rumuńskiego. Bo Poznań pragnie wybić się na pozycję czołową, zajaśnieć w całej Polsce. Brawo!

Już dziś Poznaniak posiada w Warszawie ogromny kredyt moralny, niemal nadmierny. Jest aksiomatem, że Poznań wnosi do nowego domu polskiego bardzo cenne zalety: pracowitość, obowiązkowość, umysł realny i niemały hart ducha. Zdawało mi się dawniej, że z wielkopolskiej gliny życie ulepi wyłącznie zastępy doskonałych podoficerów służbistych i karnych, a więc obywateli średniej miary, co umieją pracować i słuchać rozkazów. Nie omyliłem się, lecz być może, iż z łona tego tak okropnie na duchu gnębionego społeczeństwa wynurzą się także osobniki większego pokroju, figury pierwszoplanowe, które zaświecą na arenie ogólnopolskiej. Może już się wyłoniły...

Nareszcie — po stu i czterech latach — Poznaniak i Królewiak zeszli się pod jednym swym dachem. Wyodrębniła ich długa rozłąka, więc przyglądają się sobie jak obcy, ale, podając sobie dłonie do wspólnego życia, kochają się wzajemnie jak bracia.

Istotnie Warszawa kocha owego chłopa wielkopolskiego, co daleki od prądów przewrotowych i wybujałości ślepego samolubstwa a bliski innym stanom, orze swą ziemię piastowską, z której rugował go krzyżak. I kocha owego „radykała“ poznańskiego, co niezłomnie wierzył w zmartwychwstanie orła białego i w grobowej ciemni czuwał jak kapłan nad zniczem polskości. I kocha owego Poznaniaka, który śpieszył pod Konarzewskim na odsiecz Lwowa i jeździ na karkach bolszewickiej hordy, zbierając wawrzyny dla swego sztandaru, dla swego Poznania.

* * *

Kochany i wielce ceniony wstąpił Poznaniak we wielką rodzinę polską. Zdał świetny egzamin w przeszłości, a jutro?... Wierzy, że będzie on skałą chroniącą Polskę przed wieczystem niebezpieczeństwem teutońskiem.



PRZEDSTAWICIELE NACZELNYCH WŁADZ W WIELKOPOLSCE.



Ks. kardynał Władysław Edmund Dalbor
prymas gnieźnieńsko-poznański.



Generał broni Józef Dowbor-Muśnicki
dowódca frontu wielkopolskiego.



Władysław Seyda
minister dla b. zaboru pruskiego



Generał podpor. Bolesław Zygmunt Zieliński
dowódca okręgu generalnego poznańskiego



Do niedawna symbol potęgi pruskiej — dziś polski Zamek w Poznaniu.

Fot. M. Tykociński.

ARTUR OPPMAN (OR-OT):

JAK UMIERAŁ GENERAŁ DĄBROWSKI.

Na polowem złożyli go łożu...
A łan polski kołysał się w zbożu,
Z nad kwiatami barwiącej się łąki
Wielkopolskie wzlatały skowronki,
Dzwon kościelny na „Anioł” bił z wioski...
I umierał generał Dąbrowski...

W cichym dworze cykają zegary,
Podniósł głowę z poduszki wódz stary,
Błękitnemi oczyma bez trwogi
Spojrzał dumnie w twarz mary złowrogiej, —
Lwie to oczy i razem dziecięce, —
A śmierć kładzie już na nim swe ręce...

Zdjął generał z makaty nad głową
Dar Kościuszki: swą szablę bojową,
Każe czyścić na służbę za światem
Stary mundur z ponsowym rabatem,
I zabiera na boże pokoje
Trzy ordery zasługi: kul troje...

Stary wachmistrz z wąsami, jak wiecha,
Chlipie w kącie, a wódz się uśmiecha,
Stary wachmistrz z nad Trebii, z pod Novi,
Siodłał konia, broń ostrzył wodzowi,
Biegł z nim stokroć pod kulę armatnią, —
Teraz patrzy na bitwę ostatnią...

I powiada generał uśmiechem:
„Dawne boje powiały mi echem,
W pękających płomieniu granatów
Ja was widzę, o, duchy kamratów!
Nazbyt długo-m zasiedział się doma:
Bębnij capstrzyk, żołnierska znajoma!...”

Zataczając na słońcu swe kółka,
Za oknami świegoce jaskółka,
Śród pachnących jaśminów ogrodu
Brzęczą pszczoły, lecące do miodu,
Szemrze lipa, jak cicha muzyka, —
a śmierć kosą skazówek dotyka...

Siadł na łożu generał Dąbrowski:
„Gra mi trąbka od ziemi gdzieś włoskiej,
Jakby drzewa szumiały w niebiosy,
Oddalone wołają mnie głosy,
Las proporców nad głową mi furka...
Zanuć, Basiu, mojego mazurka...”

Poleciała piosenka legjonów
Do szumiących kłosami zagonów,
Zaglądając od chaty do chaty,
Puka w serca, jak anioł skrzydlaty,
Chłopskim dzieciom twarzyczki ozłaca,
Uśmiechnęła się grobom — i wraca...

Płynie złota wieczorna godzina,
Wódz się żegna z piosenką... wspomina:
Jak to niegdyś z tęsknotą i bolem
Od Ojczyzny szli borem i polem,
Jak nad Tybrem, Adygą, Sekwaną
Budowali Ojczyznę kochaną...

Coraz ciszej pieśń dzwoni i ciszej,
Wódz usypia... uśmiecha się... słyszy...
Pieśń zapada w wieczorny świat niemy:
Nie umarła... dopóki... żyjemy...
Jak anielskich przewionął szmer piórek...

Z duchem wodza uleciał mazurek...

Eugenjusz de Henning-Michaelis, generał-porucznik.

BARTEK ZWYCIĘZCA.

Pół wieku mija od czasu pamiętnej wojny franko-niemieckiej, która rozbiła Francję, a zjednoczyła Niemcy pod hasłem — siła przed przed prawem. W imię tego hasła polała się obficie na polach Francji krew polska; młodzież nasza, przebrana w mundury pruskie, musiała walczyć w szeregach ciemięzców z narodem, którego ideały były pokrewne naszym.

Jednostki uświadomione rozumiały całą ohydę tego potwornego przymusu, masa ludowa, zatruwana systematycznie pruskiemi wyziewami w szkole, automatyzowana przez słynny *drill* musztry niemieckiej, szła licznie na rzeź wśród ryku dział, trzasku ognia karabinowego, dymu, zamieszania i jęków a nieraz i przy dźwiękach kapeli, bijącej w niebo hymnem polskim i od którego każda kropla krwi skacze w piersi.

Duszę chłopa wielkopolskiego z owej epoki prześwietlił w sposób genialny Sienkiewicz w swej słynnej noweli „Bartek zwycięzca“, bohater której musiał bronić ojczyzny niemieckiej od barbarzyństwa francuzów.

Jakżeż pierwotną była ta dusza! ograniczała się ona do funkcji najbardziej elementarnych; widzimy w niej żywiołowe przywiązanie do swej rodziny i zagrody, odwagę półświadomą, ciemnotę, naiwność, strach przed prusakiem a jednocześnie coś w rodzaju patrjotyzmu pruskiego, wywołanego zwycięstwami niemieckiemi; poczucia odrębności narodowej, ukochania polskiej ziemi nie wyczuwamy.

Z takiego „materjału ludzkiego“ składały się słynne pułki poznańskie, zwycięstwo których pod Gravelotte przyczyniło się w znacznym stopniu do rozbicia francuzów a w skutkach pociągnęło za sobą — hakatę.

Rozpoczął się po wojnie niesłychany ucisk polaków, którym odbierano przemocą ziemię, zabroniono używać mowy ojczystej, zaprzeczano wreszcie prawa nazywania się polakami.

Zdawało się, że w takich warunkach zagłada polskości w masie ludowej jest tylko kwestją krótkiego czasu, że niema znikąd ratunku, bo Pan Bóg jest nierychliwy, a wokoło sami wrogowie; przecie przed laty kilku w państwach zachodnich uważano polaków za szczątkowy organizm narodu ginącego.

Śmiertelnym zapasom naszych rodaków wielkopolskich przyglądaliśmy się z za kordonu bezradnie my, polacy z Kongresówki; przykuci do rydwanu rosyjskiego, kierowanego zręcznie ręką z Berlina; mogliśmy wyrażać nasze współczucie zaledwie półgębkiem; pałały nienawiścią oczy, ściskały się pięści, gdyśmy czytali o torturach dzieci wrzesieńskich, usta jednak musiały dusić w sobie przekleństwo katom krzyżackim.

Nadszedł nareście czas Wojny Wszechświatowej; znowu przebrano przemocą lud wielkopolski w mundury pruskie i popędzono na pola bitew, gdzie setki i tysiące synów polskiej ziemi ginęły często w walce bratobójczej.

Drapieżny orzeł pruski wziął i tym razem obfitą daninę krwi od ziemi wielkopolskiej aż póki sam nie legł z potrzaskanemi skrzydłami i dziobem zakrwawionym.

Świat caly odetchnął wtedy z ulgą niezmierną, zdało się na razie, że potworny rabuś jest już pokonany; zapomniano jednak, niestety, że posiada on jeszcze szpony zakrzywione, któremi wpija się w ciało Polski przed laty macierzy wydarte.

Niesłychana porażka wywołała w Niemczech rewolucję; zapadły się wszystkie trony, rozprzęgł porządek państwowy, stery rządów objęły radykalne żywioły ludowe; ukazały się wszędzie rady żołnierskie i robotnicze na modłę rosyjską utworzone.

Przebieg rewolucji w Wielkopolsce miał charakter zupełnie spokojny; natychmiast po jej wybuchu rozpoczęło społeczeństwo polskie w Poznaniu przygotowywać w sposób konspiracyjny opanowanie miasta.

Przy pomocy utworzonej straży ludowej zdobywano stopniowo broń i amunicję, opanowywano odwachy i forty.

W Radzie żołnierskiej wywalczono dla polaków połowę miejsc, wyjednano uchwałę, uznającą utworzoną w Poznaniu Polską Radę Ludową za uprawnioną przedstawicielkę polskiej ludności.

Niemcy ze swej strony nie kapitulowali, wspierani przez władze berlińskie, poczęli ściągać do Księstwa organizowane hordy „Grenc“ i „Heimatschutzu“, zwerbowane za pieniądze z najrozmait-

szych zakątków Niemiec, wzmacniać załogi wojskowe.

Tryumfalny wjazd Paderewskiego wywołał jednak wybuch czynny nienawiści krzyżackiej i niemcy poczęli zrywać sztandary polskie, a gdy padły pierwsze strzały, wydano hasło „Polacy do broni“; rozpoczęły się walki uliczne, w których polska straż bezpieczeństwa stopniowo brała górę nad niemcami i wypierała ich z miasta; po czterech dniach Poznań został opanowany przez Polaków; ten sam przebieg mniej więcej miały wydarzenia w innych miastach Wielkopolski; z kraju siły niemieckie wyparto po za obecną lińję demarkacyjną a rządy Księstwa objęła Naczelna Rada Ludowa.

Do organizacji stałej siły zbrojnej zaproszono generała Dowbór-Muśnickiego, wybitnego fachowca o dużem doświadczeniu bojowem; rozpoczął on bez zwłoki formowanie armji wielkopolskiej; ogromnym szkopułem w pracy organizacyjnej był brak wśród poznańczyków oficerów fachowych, szczególniej starszych rang, gdyż Niemcy bezwzględnie nie dopuszczali polaków do wyższych stanowisk w wojsku; zmusiło to dowództwo do powołania pewnej liczby oficerów fachowych z b. I Korpusu polskiego, główną jednak masę dało Poznańskie; posunięto do wyższych szarż nielicznych oficerów zawodowych, prócz tego awansowano na oficerów szereg podoficerów.

W pierwszym okresie tworzenia oddziałów wojskowych stan moralny żołnierza nie był korzystny; w szeregach polskich znaleźli się szeregowcy nie z poboru ale ochotnicy — b. żołnierze armji niemieckiej; wyzwoleni naraz z pod żelaznego ucisku dyscypliny wojskowej, zdemoralizowani obrazami anarchji państwowej, zapominali oni nieraz o niezbędnej karności i poszanowaniu praw własności prywatnej lub społecznej; pewnemu rozprzężeniu dopomagały również opłakane warunki materjalne; żołnierz pełnił służbę polową w starym pruskim mundurze, nie miał bielizny, butów, przymierał nieraz głodem.

Objawy fermentu i rozkładu trwały jednak krótko; dzięki wrodzonym zaletom ludu polskiego i polskiej pełnej poświęcenia pracy ówczesnych kierowników, pełniących służbę oficerską, objawy szkodliwe zostały wkrótce usunięte i armja wielkopolska szybko nabierała tężyzny i mocy.

Gdy w marcu r. z. Lwów został przez hajdamaków odcięty od Przemyśla, ruszył na odsiecz nieliczny oddział poznański; krótkiem, silnem uderzeniem rozciął on jak nożem pierścień wraży, opasujący Lwów od zachodu, rozrzucił jak śmiecie oddziały ukraińskie i wkroczył tryumfalnie do Lwowa.

Po raz drugi znalazły się na kresach wschodnich pułki poznańskie w czasie akcji zaczepnej pod Bobrujskiem; i tu żołnierze wielkopolscy wykazali pierwszorzędne zalety, umiejętnie wyzyskane przez fachowe kierownictwo dowództwa.

Mamy zatem przed oczyma cudowne niemal przeistoczenie głupiego „Bartka zwycięzcy“ w żołnierza-obywatela uświadomionego, karnego i ofiarnego; czemu zawdzięczamy tę zadziwiającą metamorfozę?

Złożyły się na nią te skarby ducha, które kryją się w sercu polskiego ludu — przywiązanie do wiary, języka i ziemi ojczystej.

Upojony tryumfem wojny franko-pruskiej, sięgnął prusak brutalnie po te świętości narodowe i spotkał się z uporem zaciętym coraz to rosnącym; zjednoczyły się w tej walce śmiertelnej wszystkie warstwy narodu, wyrobiły charaktery i tężyzna moralna; cały lud wielkopolski wytworzył imponującą jedność, którą podziwiają obecnie inne dzielnice Polski.

Tylko takie społeczeństwo mogło wytworzyć w najkrótszym czasie wzorową siłę zbrojną; pamiętać bowiem należy, że narody mają taki rząd i *taką armję* na jaką zasługują.



Zdzisław Dębicki.

WOJSKO WIELKOPOLSKIE.

Człowiek słaby jest podejrzliwy i nieufny. Człowiek silny idzie przez życie śmiało, krokiem pewnym. Spojrzenie jego jest jasne, gest stanowczy.

Podobnie jest z narodami. Podejrzliwe i nieufne są narody słabe. Polityka ich opiera się na kłamstwie i obłudzie, na udawaniu pokory i ustępliwości przy sercach, wzbierających nienawiścią. Przeciwnie, narody silne smiało, otwarcie i prosto zmierzają do swoich celów, wiedząc, że ich siła wzbudza u jednych szacunek, u innych obawę.

Siłę narodu stanowią: 1) jego *bogactwo duchowe,* na którem opiera się samostarczalność idei narodowej, tworzącej dzieje danego narodu; 2) jego *bogactwo materjalne*, które zapewnia mu niezależność inicjatywy gospodarczej i 3) jako *ultima ratio,* jego *siła fizyczna* w postaci armji.

W czasach, w których żyjemy, ta trzecia siła, oparta jednak o dwie poprzednie i mocno z niemi połączona, odgrywa jeszcze rolę bardzo poważną. I nieprędko, zapewne, odgrywać ją przestanie.

Rozbrojenie powszechne, do którego pod koniec wojny na Zachodzie wzdychał cały świat, okazało się pięknem ale nieziszczalnem marzeniem. Teorja i praktyka stanęły tu przeciw sobie odrazu, nazajutrz po 11-ej godzinie 11 dnia 11 miesiąca 1918 roku (11. XI. 18). Pokój, który od tej chwili praży się w tyglach dyplomatycznych, nie okazał się wcale pokojem białej chorągwi, ale pokojem *zbrojnym,* czyli takim samym, jak tyle rozejmów pokojowych przed nim, będących niczem więcej jak tylko kontraktami, zawieranemi przez strony na przeciąg pewnego czasu, z zastrzeżeniem odnowienia po ekspiracji lub zupełnego zerwania umowy.

Ideał pacyfikacji lądów i mórz całego świata pozostał, jak dotąd, ideałem trudnym do urzeczywistnienia. W to, że moment pojednania kiedyś przyjdzie, wierzyć trzeba, ale trzeba być również gotowym na długi może jeszcze okres czekania.

W okresie tym Polska, jako państwo, ma ugruntować swoje istnienie, ustalić swoje granice, pozyskać sobie szacunek u narodów postronnych. Osiągnąć tego nie można bez armji silnej, zdyscyplinowanej, mającej sobie głęboko wpojone poczucie Honoru i Ojczyzny, tych dwóch wielkich haseł, które wypisane były na chorągwiach wszystkich naszych pułków. Stąd tworzenie armji polskiej stało się od początku istnienia państwa polskiego najwyższą troską nietylko rządu, ale każdego obywatela, rozumiejącego znaczenie wojska narodowego.

Armja, jak to już pięknie orzeczono w konstytucji 3 maja, jest *siłą, wyciągniętą z narodu.* Dla tego jej braki, jej niedomagania są brakami i niedomaganiami narodu. Dla tego także jej świetność, jej czyny bohaterskie, jej wawrzyny bojowe są dumą narodu.

Na naród spada w kierunku ujemnym i dodatnim odpowiedzialność za armję narodową.

Armja polska tworzyła się szybko, doraźnie, pod wpływem gwałtownej potrzeby, w ogniu walk, które rozgorzały na kresach Rzeczypospolitej nazajutrz po proklamowaniu rozejmu na Zachodzie.

W takich warunkach nie tworzył armji żaden naród. Może żaden nie *stworzyłby* jej. Ten wzgląd uprawnia do pobłażliwości, ale z drugiej strony ten sam wzgląd może nas szczególnie pokrzepić na sercu tam, gdzie tej pobłażliwości nie potrzeba, gdzie najsurowsza krytyka stwierdza, że osiągnięto wszystko, co można było osiągnąć.

Tak mówią rzeczoznawcy o armji wielkopolskiej, o armji, pozostającej pod dowództwem naczelnem gen. Józefa Dowbór-Muśnickiego, a wsławionej pod wodzą gen. Konarzewskiego bojami w Galicji wschodniej i na froncie bolszewickim.

Tak mówią o tej armji oficerowie francuscy, angielscy, amerykańscy, włoscy, belgijscy, japońscy. Tak mówią wszyscy, którzy ją widzieli, wojskowi i cywilni, posłowie sejmowi i dziennikarze, inteligencja miejska i wieśniacy — wszyscy, którzy czują po polsku i którym serce rosło na widok „rogatych djabłów“ wielkopolskich w szeregu, na defiladzie czy w polu.

Dumne z tego jest dzisiaj społeczeństwo wielkopolskie i słusznie, bo armja ta stanowi „wyciągniętą z niego siłę“, czyli świadczy sobą o tem społeczeństwie, jest wykładnikiem jego siły, jego organizacji, jego zdolności do czynu.

Dumny z tego musi być także i powinien być twórca tej armji, gen. Józef Dowbór-Muśnicki, który w żołnierskie twarde swoje ręce ujął pierwszą zaródź tej armji i nie wypuścił z rąk

WARSZTATY BRONI.

Generał Siestrzeńcewicz (w jasnem palcie) zwiedza kuźnie Departamentu Artylerji.

Czyszczenie i naprawa broni ręcznej.

Szkoła oficerów wojsk wielkopolskich.



Sporty wśród wojska: **Piłka nożna — Ciągnienie liny.** **Bieg rozstawny.**



Rzut oszczepem.



Skok wzwyż.



Skok o tyczce.



Rzut dyskiem.

aż ją ukształtował, aż nadał jej formę zewnętrzną i treść wewnętrzną, odpowiadającą wypiastowanemu w sercu ideałowi wojska polskiego. Tylko generał polski, o duszy nawskroś polskiej, w której drzemią tradycje wojskowe, odziedziczone po dalekich przodkach, mógł tego dokonać. Takich wyników nie osiągnąłby nigdy instruktor obcy, najlepszy sztabowiec, najlepszy teoretyk i praktyk.

Takim żołnierzem, jak żołnierz wielkopolski, nie mógł być i nie był nigdy żołnierz - polak w żadnej armji obcej — ani ten, którego wychowywała żelazna tresura pruska, ani ten, który demoralizował się w armji austrjackiej, ani ten, którego przemoc moskiewska odrywała od ziemi rodzinnej i pędziła na wschód w szarym szynelu, z ostrzyżoną głową aż na stepy mandżurskie, aby bronił tam granic wielkiego zaborczego Imperium.

Dopiero we własnych szeregach wstąpił w żołnierza tego duch własny, duch polski, a od dowództwa poszczególnych formacji wojska polskiego zależało duchowi temu nadać rozpęd.

Ten rozpęd ma dzisiaj armja wielkopolska. Złożyła tego dowód, krwią swoją zapisując najpiękniejsze karty nowej historji państwa polskiego.

Za to należy się od całego narodu wdzięczność twórcy tej armji, bo nie kto inny, ale on swoim duchem, swojem poczuciem obowiązku żołnierskiego budował ducha i budził to poczucie w dziesiątkach tysięcy podwładnych sobie żołnierzy.

Bo tylko wówczas, kiedy duch wodza przenika i obejmuje całą armję, kiedy stoi on przy każdym żołnierzu i mieszka w jego duszy, tylko wówczas armja, jako całość, osiąga tę jednolitość, bez której nie jest nigdy armją wyborową, pewną podczas wojny.

Ta jednolitość ducha stanowi największą zaletę i największą siłę armji. Nią zwyciężał Napoleon, a jej brak stał się klęską dla Rosji i dla Austrji czasu tej wojny.

I jeżeli armja wielkopolska czyni na nas przedewszystkiem *wrażenie siły*, to wrażenie to ma swoje źródło w odczuciu jej *jednolitości*, w odczuciu faktu, iż jest ona taką, jaką chciał ją mieć jej wódz naczelny, ten, który ją stworzył w ciągu niespełna roku ze świeżo branego, młodego rekruta.

Ten rekrut, który z radością przypinał do swej szarej rogatywki orła polskiego, dzisiaj nosi go już z dumą, w pełnej świadomości, że w jego służbie służy Honorowi i Ojczyźnie.

Nie miejsce tu na szczegółową ocenę różnolitych broni, wchodzących w skład armji wielkopolskiej.

Mówimy o całości. Mówimy o tem wrażeniu ogólnem, które podczas pierwszego przeglądu w Ławicy pobudziło do łez posłów włościańskich, które wywołało zachwyt na usta przedstawicieli *Ententy*, a które niedawno, podczas defilady przed Naczelnikiem Państwa, było największem i najpiękniejszem wrażeniem, odniesionem przez wszystkich uczestników uroczystości poznańskich.

Był chłodny, nieco pochmurny dzień. Godzina 11 przed południem. Naczelnik państwa w otoczeniu świty i sztabu stał przed zamkiem Wilhelmowskim, u stóp piedestału, pozostałego po... pomniku Bismarcka.

Naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, na białych koniach trębacze 3 pułku ułanów i muzyka pułkowa.

Naraz srebrny, dźwięczny głos czterech trąb przeszywa powietrze. Generał Dowbór - Muśnicki ze sztabem przechodzi krokiem ceremonialnym przed wodzem naczelnym. A potem defilada.

Więc idą, ale jak idą! Szkoła podoficerów, piechota, ułani wielkopolscy i pomorscy, karabiny maszynowe, artylerja. Ciężkie działa parami. Lufy równo, jedna przy drugiej, jak dwie świece szablą obcięte. A konie? Co za konie! Takich nie widzieliśmy dawno w Królestwie, ani pod jeźdźcem ani w zaprzęgu.

Armja wyekwipowana świetnie. Ubrana i uzbrojona znakomicie. Niczego nie można jej zarzucić.

Przypatrują się jej wszyscy, a w ciszy słychać tylko łomot serc polskich, które radują się i rosną na ten widok.

Na szarym trotuarze, na tle szarych murów zamku stoi i przypatruje się jej także dwóch ludzi w szarych skromnych mundurach.

Jeden, ten armję stworzył. Drugi, z mocy swojego wysokiego stanowiska objął nad nią dowództwo naczelne i wcielił ją do ogólnej formacji wojsk polskich. I oni się radują i ich serca żołnierskie biją zgodnie na widok tego pięknego, postawnego, świadomego swej godności obywatelskiej i swojej siły żołnierza.

A trąbki żołnierskie dzwonią w powietrzu. Las chorągiewek żółtych i białych chwieje się w perspektywie ulicy św. Marcina. Ziemia dudni pod stopami piechurów. Dudnią po bruku koła armat i jaszczów amunicyjnych, brzęczą ciężkie łańcuchy.

Od czasu do czasu wspina się ten i ów koń oficerski a ściągnięty mocno przy pysku w lansadach zgrabnych wyrównywa swój krok, krzesząc podkowami iskry. Od czasu do czasu w szabli

salutującej odbija się złoty błysk słońca, wyglądającego z za chmur i rozelśni się jakby zapowiedzią pogodnego dnia na jutro, na przyszłość.

A oto nic innego, jeno właśnie przyszłość narodu w obrazie niezapomnianym przesuwa się przed oczami — bo *armja polska* to *przyszłość polska*. Bez niej będziemy niczem, z nią będziemy *silni*, a więc ufający samym sobie i szanowani przez innych.

Jakże pouczająco wykłada to wojsko wielkopolskie, owoc pracy organizacyjnej gen. Dowbór-Muśnickiego i owoc wysiłku całego społeczeństwa, które zrozumiało, że na tę armję musi *pracować* z wysiłkiem, aby ją odziać, uzbroić i nakarmić...

Teresa Łubieńska.

POGRZEB ŻOŁNIERZA.

Na słoneczne świata strony
biją dzwony... co za dzwony?
jakiś rzewny — rozmodlony
dźwięk wydają srebrne tony...

Co to? co to? co się stało?
coś mi w duszy skamieniało,
coś ją szarpie — coś ją targa
a z ust płynie cicha skarga
i łza wilży moje oczy...
i ból wielki serce tłoczy...

A na cztery świata strony
biją dzwony... jakie dzwony?
jakiś głuchy — rozżalony
jęk wydają srebrne tony...

Wolno — równo — sunie wojsko,
lecz nie z pieśnią — lecz nie swojsko,
jako zwykło polskie wojsko...
jakiś smutek wieje z twarzy,
choć się w oczach ogień żarzy,
jakiś płomień wielki — święty,
jakby duch był wniebowzięty...
Minął ddział jeden — drugi,
jak wezbranej wody strugi
płynie szara ta lawina...
aż się w oczach ćmić zaczyna?..

W majestacie bólu — zdala —
gdzieś muzyki płynie fala...
Żałobnego marsza tony
biją w akord rozżalony,
jak w przypływie morskie fale,
które z siłą — przewspaniale,
szarpią drżące struny serca,
każda fala pierś przewierca,
aż spieniona w dal uchodzi
w tej szemrzącej głów powodzi...

A wciąż równo sunie wojsko,
lecz nie z pieśnią — lecz nie swojsko,
jako zwykło polskie wojsko...
W takt posuwa się konnica,
barwna — piękna — wzrok zachwyca,
chorągiewki ponad głową
tęczą różnokolorową
hen — trzepoczą — jak motyle,
co się w locie — tu na chwilę
zabłąkały... tętent koni
równomiernie o bruk dzwoni
z tonem marsza, z brzękiem broni...
Akord silny i bogaty...
A tuż — ciągną już armaty,
jęczą — albo ciężko dyszą,
na lawetach się kołyszą
te potwory oniemiałe,
lecz gdy rykną — choćby skałę
w pył rozsypią... A na końcu,
za orkiestrą lśniącą w słońcu,
za chorągwią, jak kruk czarną,
tłumy ludzi wkrąg się garną,
kędy w trumnie — na lawecie,
jak podcięte spoczął kwiecie,
które szara ziemia tuli,
rycerz, tknięty żądłem kuli.

A na cztery świata strony
biją dzwony... jakie dzwony?
to z cmentarza rozżalony
wiatr przynosi dzwonów tony...

A wciąż dalej sunie wojsko,
lecz nie z pieśnią — lecz nie swojsko
jako zwykło polskie wojsko...
Płyną szumy chorągiewne,
płyną szepty modlitewne,
łzy się cisną pod powieką

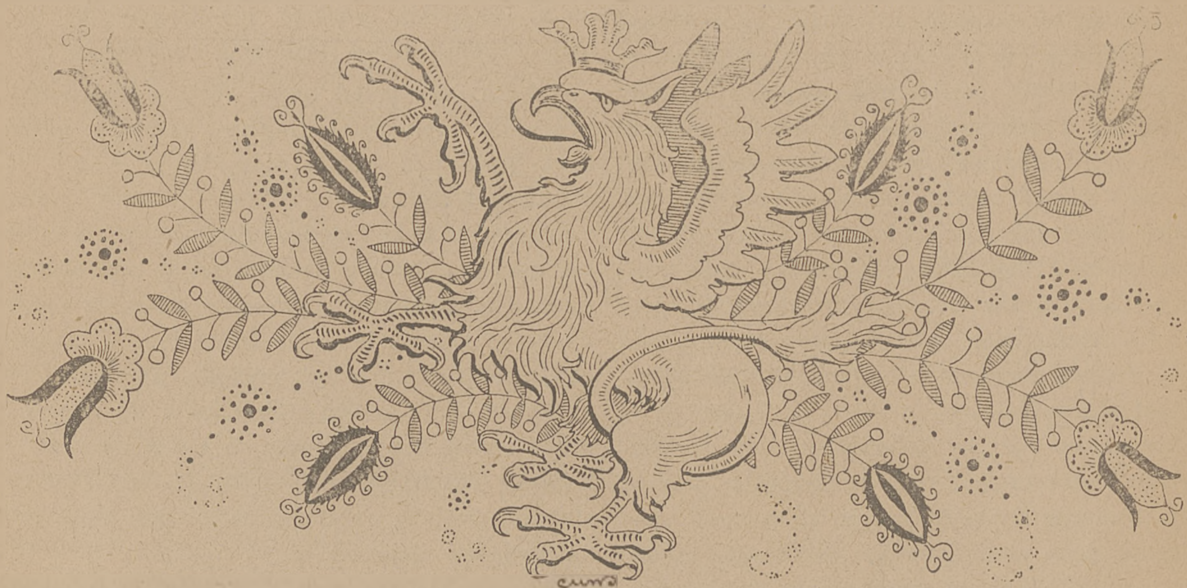
nad tem sercem — które wieko
trumny — skryło dziś na zawsze...
Teraz — dla mnie są jaskrawsze
te różnice pokolenia
co los Polski dzisiaj zmienia
z dawniejszemi — z przed lat wielu,
które — jasno szły do celu
i wiedziały za co giną...
I nam Polska jest jedyną
dziś otuchą i nadzieją,
idą chłopcy — krew swą leją,
giną mężnie i ofiarnie,
lecz — kto posiew krwi tej zgarnie?...
Czyliż z więzów uwolniona
złączy bratnie swe ramiona
i otrząśnie chwastów marę,
którą — w nasze niwy szare
jakaś ręka wsiewa obca?...
Boże! jakże żal mi chłopca,
który dzisiaj legnie w ziemi...
On był dzielnym nad dzielnymi!
pierś przeszywa boleść szczera —
wszak chowają bohatera...

A na cztery świata strony
już cmentarne biją dzwony...
jakiś smutny — rozmodlony
dźwięk wydają srebrne tony...

Już nad grobem stoi wojsko
szło bez pieśni — i nie swojsko,
jako zwykło polskie wojsko...
Pierwszy kapłan głos zabiera
i chce sławić bohatera...
lecz mu wkrótce słów nie stało,
na te czyny... słów za mało...
więc się zwraca: — „Hej, kolego,
„ty opowiedz trudy jego,
„tyś oficer jak on rzadki,
„więc mów — niechaj serce matki
„wie jakiego wychowało
„syna Polsce"... Wnet zadrżało
z ust młodzieńca słów niewiele...
i — jak dziecko — gdzieś w kościele,
w głos serdecznie się rozpłakał...
boleść zmogła świeży zapał,
nie mógł mówić... Cisza głucha...
głos zmarłego zda się słucha,
co dziś mówią towarzysze...
a wiatr liśćmi wciąż kołysze...

Nagle — zagrzmiał pod obłoki,
płacz potężny, płacz głęboki,
płacz co piersi w strzęp rozdziera,
płacz — nad trumną bohatera...

A na cztery świata strony
wciąż cmentarne biją dzwony...
a wiatr szumny — rozżalony
w dal unosi smutne tony...



Tadeusz Karaziński, pporucznik.

WIELKOPOLSKA I SCALANIE OJCZYZNY.

Wśród rozlicznych trudności odbudowy Rzeczypospolitej, jedno szczególniej zasnuwa cieniem niepokoju szczęście z odzyskania ojczyzny i napawa troską serca patrjotów. Staje przed nami niezmiernie trudne zagadnienie, by zcalenie narodu dokonało się gruntownie i całkowicie, by znikły rychło wszelkie różnice, odmienność życia i urządzeń, znaczące niby krwawe pręgi ciało ojczyzny, by zapanował wreszcie w Polsce „jeden duch i jedno ciało“.

Wielkopolska, najcenniejszy z klejnotów w koronie Rzeczypospolitej, jest niewątpliwie dzielnicą najbardziej odcinającą się od całości państwa odrębnością swej struktury. Tak jest. Galicja, Kongresówka, Kresy Wschodnie budową, układem, poziomem życia społecznego są wielce ku sobie zbliżone. Dzielące je różnice są natury zewnętrznej. Wynikły z życia wśród różnych systemów administracyjnych, wśród odmiennych organizmów państwowych. Podział społeczeństwa na warstwy i wzajemny ich stosunek jednaki w tych dzielnicach. Tu i tam liczna, lecz oddarta od ludu, osamotniona warstwa inteligencji z wysiłkiem podtrzymywała znicz narodowej kultury.

Poziom życia materjalnego, zniżając się ku Wschodowi, nie wielkim podlega jednak wahaniom na obszarze tych krajów. Wkraczając jednak w b. zabór pruski, wstępujemy w świat nowy i odmienny. By ująć w jedno bogatą różnorodność przejawów tamtejszego życia, powiedzmy: wyższy poziom życia i żywe wśród wielkopolan tej wyższości poczucie. Stąd wypływa zrozumiała wśród poznańskiego społeczeństwa obawa, iż całkowite poddanie wszystkich dziedzin ich życia pod zarząd władz centralnych obniży ten w walce i twardej pracy zdobyty wyższy rozwój ich dzielnicy. Stąd płyną szerzone przez naiwnych reformatorów naszego życia zarzuty, pomawianie Wielkopolan o dzielnicowy separatyzm, zarzuty zresztą zaprawione niejednokrotnie jadem partyjnej nienawiści.

Pragniemy wszyscy całkowitego zjednoczenia ojczyzny. Lecz czyż droga ku scaleniu prowadzi przez mechaniczne, wyłącznie zewnętrzne ujednolicenie form administracji, stworzenie jednakiego zcentralizowanego mechanizmu państwowego? Zagadnienie jest nierównie głębszem, bardziej złożonem, bardziej trudnem, niż się to wydaje płytkim zwolennikom natychmiastowego, mechanicznego usunięcia różnic dzielnicowych.

Rysem zasadniczym Wielkopolskiego społeczeństwa jest zwartość, silne poczucie solidarności wzajemnej, spójnia ścisła wszystkich klas. Wytworzyły te czynniki z Wielkopolski całość skupioną, związaną poczuciem odpowiedzialności wszystkich odłamów za losy ogółu. Brak licznej klasy robotniczej spójnię tę tylko potęguje.

Dodajmy osiągnięty wysoki dobrobyt materjalny, oparty na umiejętnej pracy i rozumnej oszczędności. Dodatnie wyniki tej pracy wytwarzają w psychice społecznej bezcenne zalety. Ujmuje się wtedy wszystkie zagadnienia od strony pracy, w niej tylko i w wartościach dodatnich trudzącego się człowieka odnajduje się zródło poprawy i odrodzenia.

Oto nowa przepaść dzieląca Wielkopolskę, od innych dzielnic, gdzie masy ludowe doszukują się przyczyny złego jedynie w niesprawiedliwości społecznej.

Wytworzył się przeto w zaborze pruskim nowy odmienny typ Polaka, człowieka-pracownika, rozważnego, oszczędnego, człowieka o normalnych całkiem zachodnio-europejskich cechach. Istotnie Wielkopolska strukturą społeczną, wysokiem uspołecznieniem, jednolitością dążeń, umiejętnością pracy przypomina całkowicie zachód. Posiada wszystkie warunki nieodzowne dla zdrowego, spółczesnego organizmu społecznego.

Lecz czyż przed wojną życie w Wielkopolsce posiadało pierwiastki istotnie szczerze polskie, czyż grała tam pełnia narodowego życia? Powiedzmy otwarcie: nie. Społeczeństwo w zaborze pruskim było przedewszystkiem grupą etniczną, obcym odłamem społecznym w państwie niemieckiem. Było zwartą gromadą, walczącą o prawo do bytu, o samo istnienie wreszcie. W zajadłej, codziennej walce o byt musiało upodobnić swe życie do życia wroga. Przejmuje się wszak, by módz stawić czoło, uzbrojenie i metody walki od bardziej zasobnego nieprzyjaciela. Dlatego często dobrowolnie, często nieświadomie zapożyczono wiele od niemców.

Życie w Wielkopolsce wypełniały całkowicie zabiegi o materjalny dobrobyt, nużąca walka z na-

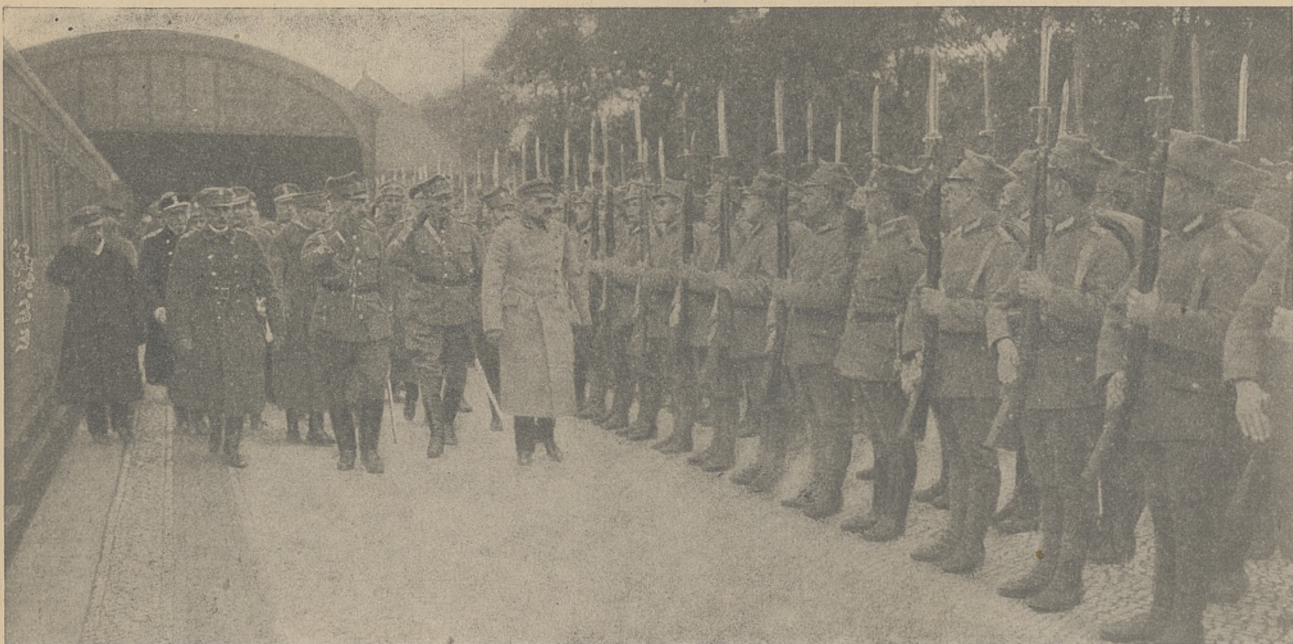
WOJSKA WIELKOPOLSKIE.



Ułani — Strzelcy — Lotnictwo — Głównodowodzący ze sztabem — Sanitarjusze — Artylerja — Kulomioty.

Fot. Dow. Gł. w Poznaniu.

Z RÓŻNYCH CHWIL I PRZEŻYĆ WYZWOLONEJ WIELKOPOLSKI.



Przybycie Naczelnika Państwa do Poznania.



Generał Haller w Poznaniu.



Ks. biskup polowy Gall w Poznaniu.



Minister wojny, gen. Leśniewski w Poznaniu.



Zjazd księży biskupów w Poznaniu.

Z RÓŻNYCH CHWIL I PRZEŻYĆ WYZWOLONEJ WIELKOPOLSKI.



Główne dowództwo i Rada Naczelna.
(Gen. Dowbor, p. Poszwiński, ks. Adamski, gen. Wroczyński).



Publicyści z Warszawy u gen. Dowbora.



Trzeciego maja. — Założenie kopca na Malcie.



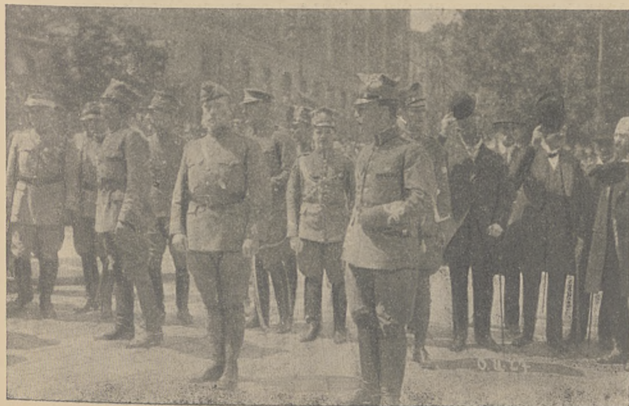
Obchód wianków.



Poświęcenie sztandaru pułkowego.



Powitanie kompanji wracającej z pod Lwowa.



Święto amerykańskie.



Święto włoskie.

(Fot. M. Tykociński).

ZJAZD KIEROWNIKÓW OŚWIATOWYCH W POZNANIU.



Kierownicy oświatowi przed Muzeum Krajoznawczem.

Oświatowcy dorzucają ziemi na kopiec pamiątkowy na Malcie.

Fot. M. Tykociński.

porem germanizmu. Po strawę duchową dla tego życia częstokroć trzeba było sięgać do Berlina. Stopniowo zakres życiowy uległ zwężeniu. Społeczeństwo wielkopolskie staje się typowo mieszczańskiem. Braknie mu szerszego oddechu, wielkiego tętna, żywych dążeń narodowych. Nikną wyższe potrzeby kulturalne, słabnie napięcie życia duchowego. Lecz czyż mogło być inaczej? Skąd mogła zaczerpnąć Wielkopolska zdrowego prądu myśli polskiej? Wśród warstw inteligentnych Galicji i Kongresówki utrzymywała się istotnie kultura narodowa. Nie była ona jednak czynnikiem twórczym, organem życia. Była kultem tradycji, pięknym kwiatem marzenia, lecz nie pobudką, dźwigającą męża do czynu. Jakież stąd mogła Wielkopolska otrzymać wskazania dla swej codziennej walki i pracy? Nie stać jej było na zbytek krzewienia kultury narodowych wspomnień, bo nie mogła nawet pielęgnować niezbędnych owoców umysłowego życia. To też inteligencja wielkopolska innego podjęła się zadania. Rozmieniała swe zasoby umysłowe na drobną monetę popularyzacji zdrowej myśli, niosąc ludowi otuchę, zachętę do wytrwania, krzepiąc dobrem słowem słabnące nieraz w wytężonej walce serca, siejąc najniezbędniejsze ziarna tradycji narodowej. Wytworzyła się przeto w Wielkopolsce swoista kultura duchowa, zaspakajająca istotnie potrzeby codziennej walki i pracy, lecz o przyziemnej sferze myśli.

Dziś wszyscy pojmujemy ówczesne warunki życia w Wielkopolsce. I dawni przeciwnicy, co zwali ją pogardliwie Abderą, dziś najgorętsze na jej cześć wypisują peany.

Dziś już i Wielkopolska, gdy zbywszy się zmory krzyżactwa, oddycha pełniej, uczy się z zapałem, czego żywy ruch umysłowy w Poznaniu jest pięknym dowodem.

Taką oto była Wielkopolska przed wojną. I gdy obecnie po długiej nocy niewoli wstępuje do wspólnego domu ojczyzny, przynosi w wianie przebogaty zasób pracy i cnót swego społeczeństwa. Społeczeństwo to jest przednim materjałem państwowym, gotowem tworzywem dla zbudowania nowoczesnego państwa. Lecz trzeba ten materjał, to tworzywo zapłodnić ideałami narodowemi, — przesycić szczerze polskiemi uczuciami i dążeniami. Wówczas w tem tworzywie zapłonie życie, wówczas Wielkopolska i pod względem narodowym przodować będzie innym dzielnicom.

Lecz życie i ideały narodowe rodzą się jednak z wewnętrznego stopienia narodu.

Nieodzownym, pierwszym warunkiem wytwarzania się podobnego zjednoczenia narodu — jest uzyskanie Niepodległości.

Dopiero dziś powstać może jednolitość narodu.

Lecz jakież czynniki tworzą tę narodową łączność i całość? Niewątpliwie ważnemi są wspólność władzy politycznej, jezyka i religji. Są to jednak składniki drugorzędnego znaczenia. Najistotniejszego czynnika spójni narodowej szukać należy we wspólności potrzeb i dążeń, a zwłaszcza we wspólności tradycji. Naród utworzony jest bardziej z martwych, niźli z żywych. Jest on, jako mówi Renan*) historycznym wytworem. Wspomnienia walk, zwycięstw lub klęsk spajają najbardziej.

Czyż mogła wytworzyć się w Polsce podobna solidarność, gdy węzły wspólnego życia zostały przed stu laty przecięte, a dzielnice zamieniły się w odrębne ekonomiczne i społeczne organizmy?

Przed Polską leży obecnie przeto zagadnienie wytworzenia osobowości narodowej czyli zasobu wspólnych dążeń, przeżyć, ukochań, wspomnień. Jedyna to droga ku zjednoczeniu i niezbędny jego warunek.

W Wielkopolsce spójnia taka ku zdumieniu naszych centralistów poczyna się wytwarzać, wzrasta, potężnieje. Przedewszystkiem jest to wpływ wojny. Wojna polską pomimo nieszczęść, jakiemi nas darzy, jest w skutkach swych przedziwnie owocna. Nic silniej, głębiej, płodniej, niż ona wpłynąć nie może na wytworzenie wspólności narodowej. Żołnierz wielkopolski broniąc Lwowa lub gromiąc nad Berezyną bolszewików przekonywuje się naocznie o rozległości własnej ojczyzny. Obrona jej odległych nawet granic staje się jego własną, żywotną sprawą.

Gdy we wspólności dążeń i ideałów zjednoczy się naród, wślad za tem łacniej już pójdzie zatarcie się różnic obyczajowych, odmiennych systemów życia, różnic będących refleksem głębokiego rozdźwięku co do celów i dążeń narodowych.

Cenne wartości, jakie wniesie Wielkopolska po przetopieniu ich w ogniu ideałów narodowych, staną się zrębem dla budowy naszego życia społecznego. Pod ich wpływem życie nasze się odnowi, przesyci pierwiastkami pracy, ukochaniem jej i zrozumieniem potęgi, jaką z sobą niesie.

*) *Renan* Qu'est-ce q'une nation? Discours et conférences str. 307.

Odwrotnie zaś stara Piastowa dzielnica, surowa, poważna, o umysłowości zbyt może związanej z codziennością życia, zaczerpnie z bogatego skarbca kultury naszej najpiękniejszych djamentów, w których skupione są blaski i wartości ducha polskiego. Zbędzie się przytem pewnego nasępienia i twardości, nabierze uśmiechów i wdzięków promienności polskiego życia.

Z takiej współpracy, z podobnego przesączania się najcenniejszych pierwiastków dzielnicowych, wyrośnie potężny, jednolity naród polski.

Wielkopolska zasłuży na wiekopomną wdzięczność przyszłości, bowiem na budowę narodu najważniejszych, najtrwalszych dostarczy materjałów.

PRZEDSTAWICIELE NACZ. WŁADZ W WIELKOPOLSCE.

Ks. kardynał Edmund Władysław Dalbor. — Generał Józef Dowbór-Muśnicki. — Minister Władysław Seyda. — Generał Bolesław Zygmunt Zielińsk;

Ks. kardynał Edmund Władysław Dalbor.

Urodzony 30 października 1869 r. Wyświęcony na kapłana 25 lutego 1893 r. Po ukończeniu gimnazjum w Ostrowiu ks. Pozn., studjował w seminarjum duchownem w Poznaniu, na uniwersytecie Monastyrskim i w Rzymie. Na wstępie pracował jako wikarjusz przy kościele św. Marcina w Poznaniu, potem powołał go ś. p. ks. arcybiskup dr. Florjan Stablewski do kancelarji arcybiskupiej w charakterze dyrektora.

W r. 1900 powołuje go arcybiskup Stablewski na profesora do seminarjum duchownego w Gnieznie, stąd na kanonika metropolitarnego w Poznaniu. Cieszy się zaufaniem arcybiskupa i jest jednym z najbliższych jego doradców, jako profesor, jako kierownik. Broni zawzięcie praw polskich. Od 1906 r. — 1914 r., po śmierci arc. Stablewskiego, powołany zostaje na administratora djecezji przez bisk. Edwarda Likowskiego. W tym czasie mianuje go Ojciec Św., Pius X, domowym prałatem. Po śmierci arcbisk. Likowskiego mianuje go Stolica Apostolska 3 czerwca 1915 r. arcybiskupem. Konsekracja odbywa się 21 września 1915 r., intronizacja 3 października tegoż roku. Jako arcybiskup ujął silnie ster rządu, reorganizuje seminarjum, zajmuje się młodzieżą szkół niższych i najwyższych. Popiera ruch polityczny (Tow. młodzieży, robotników, kobiet i t. d.). Jako prymas Polski zwołuje zjazd biskupów z prowincji polskich do Gniezna, który dla rozwoju historji kościoła w Polsce jest wielkiej doniosłości. Wojsko polskie otacza szczególną opieką. Oddał 30 księży do duszpasterstwa wojskowego, a 15 pozwolił sprawować czynności w pokrewnych urzędach. Jest to liczba ogromna w stosunku do innych djecezji. Pozatem opiekuje się moralną stroną życia wojskowego i popiera wszelkie instytucje o charakterze społecznym. W czasie zawieruchy wojennej staje na czele instytucji, mającej na celu kojenie nędzy na terenie całej Polski. Mimo wielkiego dostojeństwa jest w obejściu bardzo uprzejmym. Obecnie otrzymał w Rzymie z rąk papieża kapelusz kardynalski.

Generał Józef Dowbór-Muśnicki.

Społeczeństwo polskie, otaczające miłością i dumą formacje wielkopolskie, zwraca się również z wdzięcznością i podziwem ku ich wodzowi i twórcy. Nazwisko generała Józefa Dowbór-Muśnickiego jest znane każdemu polakowi. Zrosło się ono nierozerwalnie z dziejami naszej młodej armji. Stawiamy je obok nazwisk Józefa Piłsudskiego i gen. Hallera, jako jednego z naszych bohaterskich wodzów.

Generał Dowbór jest postacią doprawdy niezwykłą w naszych czasach bezwoli, wątłych energji, zaniku odwagi i czynu.

Urodzony żołnierz. Zamiłowanie do rzemiosła żołnierskiego, w którem mogłaby znaleść ujście jego bujna energja i żądza czynu, pchnęły go do szeregów armji rosyjskiej.

Wielka wojna zastaje go, jako pułkownika sztabu generalnego i dostarcza przestrzeni do orlego wzlotu jego bogatej inwidualności.

Karjera generała podczas wojny jest wprost oszałamiająca. Posuwa się na wyższe stopnie w sposób niebywale szybki. Rewolucja rosyjska zastaje go na stanowisku dowódcy korpusu. Nowy minister wojny, Guczkow, proponuje mu stanowisko wiceministra, gen. Dowbór jednak odmawia. Jest najbliższym kandydatem na dowódcę jednej z armji.

Prócz zalet wodza-kierownika, co mu zyskało opinję jednego z najzdolniejszych oficerów armji rosyjskiej, zdumiewał osobistą odwagą, pogardą

śmierci, zuchwałem wyzywaniem niebezpieczeństwa, wywołując zwłaszcza wśród żołnierzy zabobonny podziw.

Możność tworzenia formacji polskich budz w żołnierzu — polaka. Rewolucja w Rosji przechodziła wówczas swą wiosnę. Zdawało się, że odmłodzona Rosja pójdzie ku zwycięstwu. Nic nie zapowiadało późniejszej ruiny. A jednak gene r a Dowbór-Muśnicki rzuca bez wahania armję rosyjską i staje na czele polskich formacji. Odtąd dzieje korpusu polskiego są dziejami generała Dowbora. Dziś już wiemy, że utrzymanie garści żołnierzy polskich wśród rozhukanego morza najdzikszej anarchji, zachowanie rozwiniętego sztandaru Niepodległej Polski, który wówczas jedynie na kresach wschodnich swobodnie powiewał — zawdzięczać należy żelaznej energji generała Dowbór-Muśnickiego, umiejętności wszczepienia w dusze żołnierzy honoru wojskowego.

Wskutek posępnych przyczyn politycznych korpus rozbrojony. Generał z rozpaczą w sercu wraca do kraju. Nadchodzi styczeń 1919 r. Poznańczycy w uniesieniu zwycięskiem wypędzają prusaków. Generał Muśnicki staje na ich czele. W niezwykle krótkim czasie z niczego poprostu stwarza dzielną, karną armję, jedną z lepszych bodaj składowych części wojska polskiego.

Zasadniczą siłą, utrzymującą w napięciu działalność generała jest niezwykle bujna, przelewająca się nawet, niespożyta energja. Ona jest źródłem niebywałej wytrwałości i siły pracy generała. Ona promienieje z jego postaci wyniosłej, iście żołnierskiej. Osobiste zetknięcie z wodzem wielkopolskim niewymowny po sobie pozostawia urok. Energiczne ruchy, przeszywający wzrok, uśmiech, co serce rozbraja i szczere, żołnierskie, nieco rubaszne obejście. To też podbija wódz serca wszystkich, a zwłaszcza żołnierzy.

Generał Dowbór-Muśnicki jest w sile wieku i w pełni energji czynu i niewątpliwie wielkie jeszcze odda usługi ojczyźnie. *K.*

Minister Władysław Seyda.

Minister Seyda jest istotnie właściwym człowiekiem na właściwem miejscu. Nikt bardziej, niźli on nie jest powołanym do jeżącego się trudnościami zadania spolszczenia i przekazania urzędów wielkopolskich centralnym władzom państwowym. Umiar, wielki takt, rozwaga, gorące uczucie narodowe były rysami niezmiennemi działalności politycznej dzisiejszego ministra, a teraz święcą tryumf w obecnej jego pracy na wysokim urzędzie.

Adwokat w Poznaniu skierował jednak rychło swe zdolności na tak niewdzięczne w zaborze pruskim pole działalności politycznej.

Długoletni poseł do parlamentu Rzeszy, a następnie wiceprezes Koła Polskiego, w Berlinie miał sposobność gruntownego poznania maszyny urzędniczej pruskiej, co jest mu dziś wielce pomocnem. Reprezentował zawsze w Kole Polskiem kierunek szczerze narodowy, obcy wszelkiej ugodzie. Czasu wojny ani na cal nie zmienił swej linji politycznej. W chwilach najbardziej ponurych, gdy zdawało się, iż tryumfujące Niemcy całkowicie przykują do siebie Polskę, a zabór pruski nazawsze pogrążony będzie w otchłań beznadziejnej niewoli, minister Seyda zachował zawsze niezłomność, odrzucając wszelkie pakty z wrogiem. To też, niby w nagrodę, przypadek sprawił, iż jesienią roku ubiegłego pierwszy z polaków dowiedział się z ust wicekanclerza Rzeszy, jako jeden z przedstawicieli klubów parlamentu, o druzgocącej klęsce Niemców.

Po wypędzeniu prusaków przybywa do wyswobodzonej Warszawy w otoczeniu innych posłów polskich, by prowadzić nieudałe rokowania o stworzenie narodowego rządu. Wystąpiły wtedy w pełni jego rozwaga, nawoływanie do zgody, usiłowanie łagodzenia jątrzących przeciwieństw. Działalność jego w sejmie, dokąd wstąpił z posiadanego mandatu posła do parlamentu niemieckiego, a następnie jako wybrany w Poznaniu — zaznaczyła się żywo i owocnie. Jako przewodniczący sejmowej komisji konstytucyjnej usiłował pchnąć naprzód sprawę opracowania konstytucji. Gdy powstał projekt utworzenia ministerjum dla byłego zaboru pruskiego, był jednomyślnie wysunięty jako kandydat przez swych kolegów — posłów z Wielkopolski. Oddał się wówczas całkowicie dziełu zjednoczenia Wielkopolski z innemi dzielnicami, umiejętnie rozwiązując nasuwające się przeciwieństwa.

Działalność jego bogate już wydaje owoce. Pobyt Naczelnika Państwa w Poznaniu był tego zjednoczenia się pięknym symbolem i rzetelnym tryumfem ministra Seydy. To też społeczeństwo polskie darzy ministra dla byłego zaboru pruskiego żywem uznaniem i wdzięcznością. *K.*

Generał Bolesław Zygmunt Zieliński.

Generał Zieliński, dowódca okręgu generalnego w Poznaniu, pochodzi z rodziny ziemiań-

skiej, osiadłej w Nowosądecczyźnie, w której żywe były tradycje walk o niepodległość. Dziad i ojciec czynny brali udział w ostatnich ruchach powstańczych 1846 i 1863 roku. Takie środowisko wybiło piętno i na całem życiu naszego generała. Już dziecięcych jego lat marzeniem było służyć i bić się za sprawę Polski. W tej jedynie myśli wstąpił do wojska austrjackiego, by przy nadarzającej się sposobności wykształcenie i doświadczenie wojskowe ofiarować na ołtarzu i dla dobra Ojczyzny. Na chwilę tę jednakże musiał długo czekać. Dosłużywszy się stopnia pułkownika 13 p. p. „Krakowskich dzieci“, już był na emeryturze, gdy w Krakowie poczęły tworzyć się związki strzeleckie i drużyny sokole, gotując się do walki z Rosją. Wówczas z całą gotowością ofiarował im swe duże doświadczenie wojskowe, stając się jednym z najlepszych instruktorów tych zawiązków przyszłej armji polskiej. Gdy zaś wreszcie wybuchła tak długo oczekiwana wojna, poszedł za porywem serca i rojeń dziecinnych jeszcze lat, rzucił świetnie zapowiadającą się karjerę w służbie austrjackiej, gdzie mu proponowano komendę brygady, a objął dowództwo 2 p. p. legjonowej. Brał na swe barki zadanie wdzięczne, ale i trudne. Z „druhów“ i „obywateli“ o najlepszych chęciach — lecz mało albo wcale niećwiczonych, miał stworzyć regularny pułk. W Krakowie już na to czasu nie było, gdyż wkrótce pułk, naprędce zorganizowany, wyruszył na Węgry by rozpocząć bój. Wobec tego właściwe kształcenie żołnierzy, rozpoczęło się dopiero na linji bojowej. I tam właśnie generał — podówczas jeszcze pułkownik, wybił się na jedno z miejsc pierwszych w Legjonach, jako nieustraszony dowódca, wyborny nauczyciel i wzorowy obywatel-człowiek.

On to, piastując kolejno stanowisko dowódcy pułku, grupy, brygady, dywizji i całych Legjonów, przeszedłszy kampanję karpacką, bukowińską, wołyńską, a ostatnio galicyjską, był wzorem odwagi i męstwa, zawsze w pierwszej linji tyraljerskiej przykładem swym zagrzewał do boju, uczył trwać na stanowisku.

W służbie wymagający, napozór nieprzystępny, w gruncie rzeczy złote ma serce. Jest prawdziwym ojcem żołnierzy, niezmiernie do nich przywiązany.

Generał Zieliński — to człowiek z jednej bryły ciosu ukuty. W całem swem postępowaniu był prostolinijny, nie znał kompromisów. Przejęty jedną myślą — służenia wyłącznie i jedynie tylko sprawie ojczystej, jako żołnierz uważał za swój obowiązek i cel prowadzenie walki z wrogami Polski. Na polityce się nie znał i jej serdecznie nie lubił. Czuł się wybornie tylko w polu, w obliczu wroga, wśród swoich tak bardzo ukochanych żołnierzy. To też zawsze choć schorowany, wyrywał się na front; gwałt sobie zadawał, gdy musiał obejmować funkcje tyłowe i być zdala od życia obozowego. I przez cały czas nic się nie zmienił, bo i niedawno, ledwo wróciwszy z więzienia w Marmaros-Sziget, choć nie zdrów, wybrał się znowu w pole. Ze stanowiska politycznego rozmaicie można osądzać jego niezmiernie trudną działalność, jako komendanta Legjonów, czy to w Warszawie, czy później na Bukowinie, lecz nikt mu nie może zarzucić ani cienia prywaty lub zboczenia z jasnej linji programu narodowego. Działał zawsze i wszędzie z jaknajlepszem dla sprawy zrozumieniem i z całkowitem oddaniem jej swojej osoby. Rzadkiej, rzeczywiście purytańskiej skromności — dla siebie niczego nie żądał. Pragnął tylko, by ta sprawa, której on z zaparciem się i z narażeniem na najrozmaitsze przykrości służył, nietylko nie poniosła w niczem uszczerbku, lecz by osiągała cel upragniony.

Doczekał się też w końcu ziszczenia swych marzeń — doczekał się niezależnej Polski — doczekał się służby w szeregach już naprawdę polskich. W zamian zaś za swe trudy, wysiłki i tyle nieraz poświęcenia, dosłużył się nagrody najmilszej: miłości swych podkomendnych — bo trzeba stwierdzić, że mało który z dowódców może poszczycić się takiem zaufaniem, taką czcią i ukochaniem swych podwładnych, jak on.

P.



Walenty Zieliński, porucznik.

DO ŻOŁNIERZA*).

Żołnierzu, hej, twe silne ramię
Niech zrywa, kruszy i niech łamie
Żelazne, wrosłe do krwi pęta...
Baczność! Powstała Polska święta!

Żołnierzu, w taki dzień na straży
Stoisz. Ojczyzny los się waży...
Chmury wkrąg. Węże-błyskawice
Lecą od granic — po granice.

Żołnierzu, twoja silna wiara
To znak, że ziemia ta prastara
Aż od Bałtyku do Podhala
Nie shańbi się i nie pokala.

Hej — krwią spieniona rzeka płynie,
Dźwignięte tamy przy Cieszynie,
Przy Lwowie, Mińsku i u Wilna,
Tak silne, jak twa dusza silna!

Wstrzymany potok u Poznania,
Pierś twa, jak tarcza, kraj osłania,
Broni Krakowa i przeprawy
Do serca Polski, do — Warszawy!

„Bóg i Ojczyzna!" z temi słowy
Dziś powstał rycerz grunwaldowy
I Sobieskiego wiara przednia —
Polska husarja, ta z pod Wiednia!

Ożyła dawna Sommosiera,
Raszyn, Leszczynka nie umiera,
Wciąż racławickie błyszczą kosy,
Choć żołnierz inny, inne losy,

Choć szereg lat odmienił wiele,
Choć dzwon nie dzwoni dziś w kościele,
Wyrwany z sercem ręką wroga...
Lecz — choć żałoba tam u proga

Każdego domu, każdej strzechy,
Choć przez mgłę słonko śle uśmiechy,
Chociaż, jak pomsta, lśnią ruiny,
Choć Stach nie wraca do dziewczyny,

Choć Jaś w mogilnej spoczął ciszy
W gronie serdecznych towarzyszy —
Wszystko to jeszcze doda siły,
Te wszystkie bóle i mogiły!

Żołnierzu, cały skarb Polaka,
To ziemia polska, piękna taka,
To krwią zroszone złote pola,
To kwietne łąki, płodna rola,

Bogactwo kwiecia i zieleni
I ten słoneczny snop promieni.
To kościół twój, przed którym z wiarą
Chylą się chaty strzechą szarą,

To szafirowej nocy morze,
To — kiedy ranne wstają zorze —
Ta cisza boska dookoła,
Co ma w opiece polskie sioła.

To w lasach — hen — szumiące sosny,
To skowronkowy śpiew radosny,
To Tatr potężnych srebrne szczyty,
To wiosek sznur, kulami zryty,

Wiśniowy sad, grusz i jabłoni
Szereg, co chacie twej się kłoni,
Przy wiosce twej zagonów pręgi,
To modrych rzek błyszczące wstęgi,

Pamiątki miast. Te wszystkie cuda
To rzeczywistość a nie złuda,
To złoty świt, co niech w iskierce
Dziś rozpłomienia twoje serce

I strzeli ogniem takiej mocy —
Że słońca pozapala w nocy,
Rozbudzi w duszach srebrne struny —
A oręż zmieni nam — w pioruny!

---

*) Wiersz, wypowiedziany podczas otwarcia w Warszawie gospody krajoznawczej dla żołnierzy.

Marja Konopnicka.

W WINIARSKIM FORCIE.

Ranek był świeży, wiosenny, słoneczny.

W Winiarskim forcie, w Poznaniu, piał grubym chrypliwym głosem wielki kałakucki kogut. Piew to był głuchy, jakby ze ściśniętej gardzieli idący, zakończony charczeniem dwóch kłócących się z sobą falsetowych tonów urwanych na jakiejś niesfornej, czkawkę przypominającej nucie.

Sam kogut wszakże wiele o głosie swoim rozumieć musiał, gdyż po każdem zapianiu stawał, jak wryty i, wysuwając coraz wyżej z barków, grubą, włochato obrosłą szyję, szybko, jakgdyby w podziwie, obracał na wszystkie strony łeb ciężki nakryty wielkim, aż na oczy spadającym pierzastym szyszakiem.

W zdumieniu swojem zapominał nawet na chwilę o rozgrzebywaniu śmietnika, stojąc tak na jednej z silnych, aż do ostrogi kępami pierza obrosłych nóg czarnych, podczas gdy druga, wyciągnięta w tył, ze skulonemi pazurami, zbierała się niezgrabnie do postawienia następnego kroku.

Nim go wszakże postawić zdążył, już ze wszystkich przedmieść poblizkich, z Waliszewa, z Nowej-Grobli, ze Środki — rozlegało się jasne, szerokie, donośne pianie zwykłych polskich kurów, to pojedyńczo, to razem po dwóch, po trzech, jak tam którego chwyciła myśl dobra. Pomiędzy temi wyrobionemi i w doskonałą muzyczną frazę zaokrąglonemi głosami słychać było piskliwe, zupełnie jeszcze pozbawione szkoły wyrwasy młodych kogutków, które zaraz wszakże zagłuszał jeden lub drugi wyborowy solista.

Wielki kałakut słuchał, przechylał na obie strony obciążoną ogromnym czubem i nabrzmiałemi koralami głowę, sinawą błonką zakrywał na jedno mgnienie oka okrągłe, rubinowe źrenice, ale się zwyciężonym nie uznawał i, skoro tylko nieco po przedmieściach ucichło, bił po sobie ciężkiemi lotami i zanosił się grubem, chrapliwem pianiem.

Natychmiast czyste, metaliczne głosy jego adwersarzy uderzały w powietrze ze zdwojoną siłą. Czuć w nich było rozdrażnienie niezwykłe.

Sąsiad z winiarskiego fortu świeżym był przybyszem; przedmiejskie koguty nie nawykły jeszcze do jego tubalnego głosu. Wiadomo było, iż uważają go wprost za szykanę.

Kałakut nie mniej czuł się podrażnionym. Nie umiał nawet zgoła wytłómaczyć sobie, dlaczego właściwie ksiądz Johann Wurst, pan jego, przeniósł się tu z Westfalji, z miasteczka, gdzie wszystkie koguty tak samo basem piały i gdzie żaden kur nie robił skandalu jakiemiś wykrzykami z za płota.

Było to wprost nie do pojęcia.

I znów się ciężkiemi skrzydłami po żebrach tłukł i zanosił przeraźliwem pianiem.

— Szwabska — krew! — zaklął wachmistrz Dzieszuk, czyszcząc odświętny mundur przy otwartem oknie. — Drze się, jakby kto barana rznął. Że też to choć i pianie, to insze katolickie, a insze znów szwabskie...

Wachmistrz Dzieszuk, chłop ogromny, a suchy, jak chmielowa tyka, dawno już w wojsku służył, a z żołnierzy Polaków był w forcie najstarszym. Tutaj ostry jego wąs poszroniał, tu mu twarz zwiędła i wyschła, tu się w ptasi dziób zaostrzył nos jego kościsty, tu mu się nieco pochyliły bary, tutaj ociężały nogi.

Ale, chociaż tak dawno karabin pruski dźwigał, ze „szwabami“ nigdy jakoś pogodzić się nie mógł.

Dwa też były u niego gatunki ludzi i rzeczy: „Szwabska — krew“ i „Polska — krew“. Wszystkie nawet wypadki życia swojego do tych dwu kategorji odnosił. Dwa razy był naprzykład „szwabska — krew“ raniony: w szlezwickiej i francuskiej wojnie; a raz mu ksiądz Cydzik, proboszcz dywizyjny, podarował „polska — krew“, książkę do pacierza ze złoconemi brzegami i pięknym futerałem.

Jeden tylko odolanowski i koźmiński atak[1]) kwietniowy wspominając, mieszał te obie kategorje tak, że sam już nie wiedział, gdzie tam w tej zawierusze była krew polska, a gdzie znowu szwabska, i dopiero kiedy w opowiadaniu do bicia słupów granicznych przez generała Willisena przychodziło[2]) — ostygał, prostował się, a rozłożywszy suche i długie ramiona, jak męka Pańska na roz-

---

[1]) Mowa tu o ataku Prusaków na rozdzielone i osłabione podstępnie oddziałki wojska polskiego w Odolanowie i Koźminie dnia 19 kwietnia 1848 r.

[2]) Dnia 20 kwietnia 1848 r. wyszedł dekret króla pruskiego dzielący Wielkie Księstwo Poznańskie na części polską i niemiecką generał Willisen, przysłany wówczas do Księstwa z ramienia rządu berlińskiego, pełnił obowiązki organizatora nowego porządku w kraju

WIELKOPOLANIE NA FRONCIE.



Posterunek telefonistów.



Strzelcy podczas boju.



Kulomiot działa.



Ciężka artylerja.



Posterunek przy moście.



Placówka w tunelu.



Dwaj zbiegowie z grencszucu w otoczeniu naszych żołnierzy.



Żołnierze z grencszucu handlują na pozycji.

WIELKOPOLANIE NA FRONCIE.



Przeprawianie kulomiotu.



W okopach.



Ogień karabinowy.



Nad lejkiem od granatu.



Artylerja. Podczas strzału.



Miotacze min w pociągu pancernym „Rzepicha".



Odpoczynek przy „willi"



Wolne chwile.

WIELKOPOLANIE NA FRONCIE.



Wielkopolanie eskortują wzięty do niewoli bataljon bolszewicki.



U stóp kopca poległych I Pol. Korpusu.



Pogrzeb poległych Wielkopolan na Białej Rusi.



Pociąg artyleryjski „Goplana".



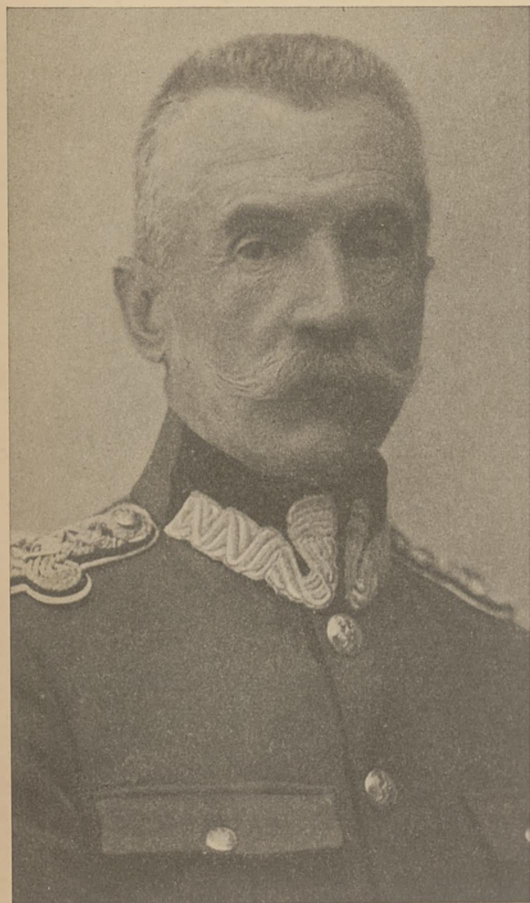
Artyleryjski punkt obserwacyjny.



Miotacze min podczas walki.



W boju: barykada na szosie.

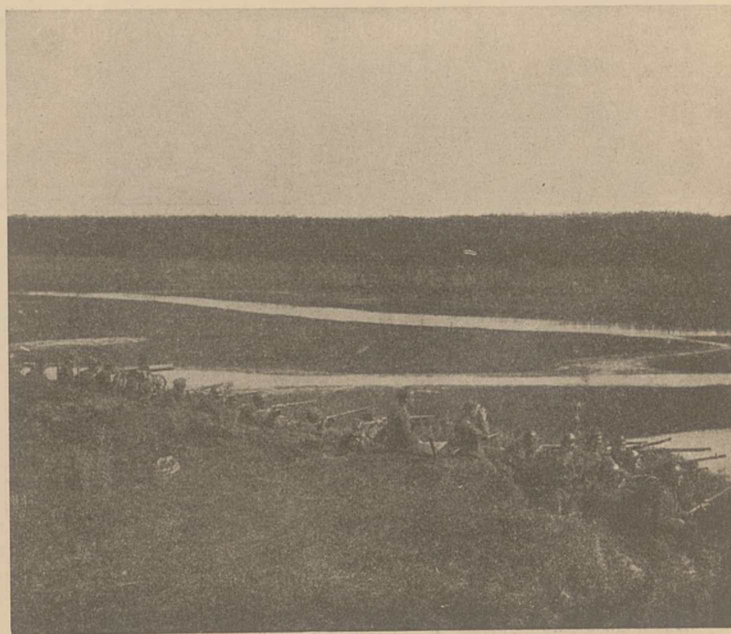


Ś. p. generał-porucznik Dubiski

bohaterski dowódca I-ej dywizji wojsk wielk polskich, odpierając na czele swych żołnierzy atak nieprzyjacielski, padł nad Berezyną w obronie granic Rzeczypospolitej.



Pogrzeb ś. p. Dubiskiego, pierwszego generała, który zginął w obecnej wojnie polskiej. Fot. St. Brzozowski.



Mur żołnierskich piersi, broniący nas przed zalewem wschodniego barbarzyństwa. Pozycja nad brzegiem rzeki na dalekich kresach.



Ćwiczenia artylerji wielkopolskiej przed wyruszeniem na front.

Fot. ppor. Feliks Peto.



Pogrzeb wielkopolskiego żołnierza w Bobrujsku.

drożu, milcząc stał i gestem pokazywał, że z jednej strony była wówczas „polska", a z drugiej „szwabska" krew

Wąs mu wtedy szroniasty drżał nad niemą wargą, a zresztą żaden z willisenowskich słupów nie był bardziej nieruchomy i więcej milczący.

Co niedziela paradował Dzieszuk ze swoją książką od pacierza na mszy żołnierskiej, którą proboszcz dywizyjny wczesnym rankiem u Fary miewał.

Piękna to rzecz była widzieć, kiedy w długiej, po-jezuickiej nawie parami się ustawiła wiara z winiarskiego fortu, mając nad sobą, jak sztandar, krótko strzyżony łeb Dzieszuka, który wzrostem nad wszystkimi górował. Czasami łeb ten, szronem pokryty, zdawał się być tak wysoko, jakby nim Dzieszuk chciał dostać tych gwoździ, któremi przybite były nogi ukrzyżowanego w ołtarzu Chrystusa i bić o nie czołem.

Patrzyli też w niego młodsi, jakby w tęczę, a niejeden, co księdza nie dojrzał i dzwonka nie pojął, ruchami owego łba Dzieszukowego w słuchaniu mszy się rządził.

Stał Dzieszuk, stali wszyscy, jakby w ziemię wrośli; klękał — klękali, niby las podcięty; bił się w piersi — głuchy łomot setek rąk, w kułak złożonych, rozlegał się, jak stłumione uderzenia młotem.

W jednem tylko nie mogli podkomendni naśladować wachmistrza swojego, a mianowicie w tym wspaniałym geście, jakim Dzieszuk książkę swoją z futerała wyciągał, złocone jej karty otwierał, a podniósłszy do wysokości uzbrojonego w okulary potężnego nosa, na całą długość ramion wyciągniętą przed nim trzymał. Tego stanowczo nie mógł naśladować nikt, i na tym punkcie pozostał Dzieszuk niedościgłym wzorem.

Niemniej wszakże czuła się wiara dumną z posiadania wachmistrza, który ma tak piękną książkę, a co niedziela ścisk był koło Dzieszuka, bo każdy rad był choć futerał od niej podczas nabożeństwa trzymać.

Nie byle komu powierzał go Dzieszuk i nie wpierw w ręce dał, aż, ostrym swoim wzrokiem na wylot kandydata do trzymania przebrawszy, uprzytomnił sobie jego całotygodniowe sprawki. Boże broń „makuły" jakiej i „zatrząśnienia oczu", jak mawiał. Uważano też niemal owo trzymanie futerała za niższy jakby stopień służenia do mszy, a Dzieszukowe czytanie z książki jakby za celebrę.

Umiał wszelako Dzieszuk być wspaniałomyślnym, a kiedy wiara dobrze się sprawiała, to półgłosem modlitwy zwolna czytał, aby je najbliższi słyszeć mogli. Pomdlały mu nieraz srodze od trzymania książki onej ręce; ale nie wpierw ją składał, aż ksiądz Cydzik, zrzuciwszy ornat po mszy, w albie tylko u ołtarza stawał i, obróciwszy na kościół twarz szczupłą, bladą i przezroczystą niemal, znakiem krzyża szeroko zakreślonym w powietrzu nad pochylonemi głowami żołnierzy, zaczynał naukę niedzielną: „W imię Ojca i Syna, i Ducha świętego".

Żegnał się wtedy Dzieszuk, żegnała za Dzieszukiem wiara, a po całej nawie szedł szmer jednostajny, aż ucichł gdzieś u drzwi, u kruchty.

Proste były nauki ks. Cydzika, ale i Dzieszukowi i podkomendnym jego niezwykle trafiały do serca. Cichy, delikatny głos mówcy przejmował serca te nawskroś już dźwiękiem samym; tak, że ledwo ksiądz usta otworzył, już się dawało słyszeć w szeregach powstrzymywane sapanie.

Dzieszuk i w tem przecież karność utrzymać potrafił. Jakże to? To jeden będzie sobie w wąsy dmuchał, a drugi nie będzie słyszał nauki przez niego? Jeszcze co!... Oglądał się tedy marsem, chrząkał, a sapanie wnet cichło po kątach.

Dopiero kiedy wachmistrz dobył czerwonej bawełnianej chustki i nos potężny nią utarł, a westchnął sobie z głębi, wolno było pofolgować wezbranemu sercu.

Wtedy to, jak na komendę, ucierała wiara nosy, a strzeliste westchnienia unosiły się, jak wiatr, aż pod wielki, kryształkami obwieszony świecznik, którego płomyki też zaczynały migotać i mrugać, jak oczy, do płaczu gotowe.

Płakano wszakże przy większych tylko okazjach. Ot, kiedy na ten przykład Dzieszuk z książki swojej zagrzmiał na mszy pasterskiej: „Bóg się rodzi, moc truchleje"; albo kiedy na wielkopiątkowej pasji ryknął wielkim głosem: „Jezu Chryste Panie miły, Baranku bardzo cierpliwy!" — lub kiedy wreszcie, podczas rezurekcji, jak z moździerza, huknął: „Wesoły nam dziś dzień nastał!" Tę pieśń lubił szczególniej, a w miarę, jak ją śpiewał, głos jego młodniał i nabierał słodyczy, tak, że przy słowach: „Witajże, Jezu najsłodszy, Synaczku mój najmilszy", podobny był gruchaniu gołębia, który, lubo przytwardy już nieco na pieczeń, tokować przecież nie zapomniał jeszcze.

Słodycz ta pozostawała mu w głosie i w spojrzeniu na cały ten dzień, który raz na zawsze spędzał u kuma swego, strażnika trzeciej bramy w winiarskim forcie, Wojciecha Kociały, igrając

z dziatkami jego i spożywając dar Boży, iż to sam, sierota stary, domu swego i ogniska nie miał, odkąd syn jego jedyny pod Odolanowem... szwabska krew!

Nie kończył tego wachmistrz Dzieszuk nigdy; ale się przy tych słowach znów stawał podobny do willisenowskich słupów.

A ot i dziś, wielkiego dnia po wielkiej nocy i święconego jajka Bóg doczekać dał. Od wczoraj już fort cały pełen był zapachów gorącego ciasta i mięsiwa, które zagłuszała nieco czeremcha, kwitnąca bujnie i rozgrzana słońcem kwietniowem.

Dzwony u Fary biją a biją, jakby pęknąć miały, a Dzieszuk nie śpieszy się jakoś. A czego się śpieszyć?

To nie ksiądz Cydzik będzie dzisiaj mszę żołnierską odprawiał. Złe jakieś szepty chodziły już oddawna po winiarskim forcie, ba, po mieście całem. Gadali ludzie, że nowy proboszcz przybywał z daleka; gadali, że nawet po polsku nie umie...

Nie umie? Jakżeby to? Po jakiemużby się tu z ludźmi dogadał?

Tak sobie rozumował Dzieszuk, ale jakby mu mrówki po sercu lazły.

Ksiądz Cydzik od kilku dni nie wychodzi z domu. Powiadają, że chory. Może chory, a może i nie chory. Może to tylko polityka taka. Jak politykować nie ma, kiedy od piątku na cudzych jakby śmieciach siedzi, bo się już nowy proboszcz sprowadził z betami, z gratami, z kurami, ot i z tym kałakutem przeklętym, a dziś pierwszą mszę żołnierską ma mieć...

A no, da się to widzieć! Przestał mundur czyścić; wdział go na siebie i ruszył naprzód.

Wchodzi wiara, jak zawsze, dwójkami do Fary, a łeb Dzieszuka wyżej jeszcze, niż zwykle, nad wszystkiemi sterczy.

Na prawo przed ołtarzem klęczy w ławeczce ksiądz Cydzik, w starej swojej, znoszonej sutannie. Obie ręce złożone na wytartym brewiarzu, na rękach oparte czoło; z boku tylko widać nieco twarz jego zmizerowaną i żółtą, jak wosk.

Zaruszał się wąs szroniasty nad wargą Dzieszuka, ale nic. A tuż zaraz i dzwonek brzęczy u drzwi zakrystji.

Wszedł nowy proboszcz — wspaniała osoba — i tubalnym głosem zaintonował *„Asperges“*. Rozstąpiły się dwójki na obie stony nawy, a celebrant ruszył środkiem, poprzedzony przez wylękłego i plączącego nogami chłopaka z kubełkiem wody, w komeżce.

Niema co, wspaniała osoba! Gdzie tam do niego księdzu Cydzikowi! Czarna kędzierzawa głowa, twarz mięsista, rumiana, świecące oczy; ręce białe i tłuste, ruchy zamaszyste. A buty skrzypią, jak u pana komendanta; a z pod kapy widać nową błyszczącą sutannę. Kropidłem macha, jakby kij w ręku trzymał; po ludziach bystro pogląda, jakby ich odrazu przeczuć chciał. Jaki taki oczy spuścić musiał.

Zaczęła się msza.

Ksiądz Cydzik nie podnosił głowy.

Zdawało się Dzieszukowi, że przez blade, cienkie palce klęczącego przesączyło się na brewiarz jakby kropel parę... i nagle go coś przy sercu ścisnęło. Żeby sobie wybić próżne myśli z głowy, dobył książkę i modlić się z niej zaczął. Ale modlitwa mu nie szła. Szczególniej to go stropiło, że nowy organista, który razem z nowym proboszczem nastał, trele jakieś wywodzi, a zwykłych pieśni wcale nie zaczyna.

I msza odprawiała się jakoś dziwnie krótko, węzłowato. Nie było w niej tych długich modłów, tych cichych zachwyceń dawnego proboszcza. Od *„Introit“* do „Ewangelji“ — jakby z bicza trzasł. Połowy, gdzie! ćwierci zwykłych modlitw swoich nie zdążył Dzieszuk odczytać, kiedy już ksiądz *„Credo“* śpiewał. Przed „Podniesieniem“ znów oczy od książki oderwać musiał wachmistrz, bo mu się zdało, że świece ciemniej się jakoś u ołtarza palą, i że chyba połowa pogasła. Ale nie. Paliły się wszystkie. Tylko czemu ten organista nie zaczyna pieśni?

Ta pieśń doroczna, ta pieśń nie śpiewana tak mu wierciła w głowie, że padłszy na kolana przy „Podniesieniu“, bił się w piersi, jak na *„Agnus“*, a za nim wiara grzmociła się tak samo, aż do ostatniego.

Ksiądz Cydzik klęczał nieporuszony. Zdawało się, iż to jest figura kamienna, której nadano twarz ludzką, bardzo bladą.

Po „Podniesieniu“ szronowaty łeb Dzieszuka obrócił się ku chórowi. Natychmiast wiara uczyniła toż samo. Na chórze wszakże nie odezwała się pieśń oczekiwana.

Dzieszuk zupełnie modlić się nie mógł. Trzymał wprawdzie książkę swoją na wysokości nosa, ale litery i wiersze migały mu przed oczyma, jak czarne punkty i wężyki. Wydłużał i przyciągał ręce, ale to nie pomagało.

Westchnął nareszcie z uczuciem ulgi, kiedy ksiądz wysokim tonem zaśpiewał: *„Ite missa est — Alleluja!“*

Ano, kiedy *„Alleluja!"*, to już dobrze. Przynajmniej się wie, że to po polsku. Już chrząknął, już wydął piersi, już nogi dla pewniejszego dobycia głosu rozstawił, kiedy nowy proboszcz zrzuciwszy ornat, przed ołtarzem, w albie, z sutą u szyi wstęgą żółtą, do nauki stanął i, zakreślając szeroko w powietrzu nad zebranymi znak krzyża, donośnym odezwał się głosem:

„Im Namen des Vaters, des Sohnes, und des heiligen Geistes. — Amen!"

Dzieszuk, który już do czoła rękę był podniósł, spuścił ją, jak paraliżem tknięty.

Co to? Co to jest? Co to ma znaczyć?

— *„Meine theuren Brüder!"* — zaczął ksiądz swoją przemowę.

— Chryste! To naprawdę?... Chryste! Chryste! Chryste!...

Wypadła z głuchym łoskotem książka z rąk Dzieszuka, a ręce te, drżące i kościste ręce podnosiły się zwolna coraz wyżej ku krzyżowi.

Wiara patrzyła w niego, jak w obraz cudowny. A łeb Dzieszuka razem z rękoma podnosić się zdawał tuż, tuż do nóg Ukrzyżowanego. Jeszcze chwila, a dostanie on nóg tych rękoma, oplecie je, uściśnie i włóczyć się będzie u tych stóp przebitych i nie puści, póki go tu zaraz nie przeżegna po polsku ksiądz Cydzik, póki Mateusz, stary organista, nie zagrzmi: „Wesoły nam dziś dzień nastał".

Wesoły... Chryste! Chryste! Toż dzień sądu, a nie dzień wesela. Chryste! to takie zmartwychwstanie Twoje? To nie zmartwychwstanie, ale męka! Męka, i krew, i żółć, i przebicie boku włócznią!... Słońce i gwiazdy się zaćmiły, ziemia się wstrzęsła, powstawali z grobu umarli!... Boże, Boże! czemuś mnie opuścił? Boże, Boże! czemuś mnie opuścił?...

I ryknął stary Dzieszuk nagłym płaczem, i padł na kolana, i wpatrzony w Chrystusa ukrzyżowanego, wielkim głosem zaczął śpiewać:

„Któryś za nas cierpiał rany,
Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami!"

A za nim wiara tuż na kolana i w szloch, i w ono błaganie żałosne...

Stropił się nowy proboszcz u ołtarza, pomylił, z drugiego końca zaczął i znów się pomylił, ale nauki nie przerwał. Chłopaka tylko w komeżce w bok szturchnął, wskazując mu palcem Dzieszuka.

Chłopak podszedł do wachmistrza i trącił go w ramię. Nic. Trącił go tedy powtórnie. Ale Dzieszuk nie czuł tego nawet. Zdawało mu się, że słyszy wbijanie nowych słupów willisenowskich... Wszakże on je pamięta dobrze. Od Noteci stały, od Krotoszyna, od Międzychodza, od Kępna, ale nie tu, nie tu, nie tu! Tu nie było ani jednego! On wie, że nie było, on przysiądz gotów!

I rozpostarł ręce, i, twarzą na ziemię ległszy, rozkrzyżował się szeroko na kamiennych taflach, jakby broniąc przystępu tym słupom, które się same poruszały i coraz dalej szły, szły...

Ksiądz Cydzik klęczał nieruchomy z pochyloną na ręce twarzą, a jego wątłą postacią wstrząsało wewnętrzne łkanie.

Dawno już się nauka skończyła, a ksiądz Johann Wurst przez zakrystję na plebanję wracał, kiedy Dzieszuk oderwał swój łeb siwy od kamiennych tafli podłogi, podniósł się, zatoczył i, jak pijany ku drzwiom iść zaczął, zapomniawszy po raz pierwszy zabrać książkę swoją.

Przy drzwiach trącił go Kociała.

— Ej, co tam, kumie! Dajcie spokój! Czekamy ze święconem jajkiem...

— Kto święcił? — zapytał głuchym głosem Dzieszuk.

— A któżby?... Nowotny...

— Pożywajcie z Panem Jezusem — odparł Dzieszuk i powlókł się na kwaterę.

Tu zrzucił mundur, padł na tapczan, ukrył głowę w ręce, i długo widać było, jak się wstrząsa jego grzbiet kościsty.

Nad wieczorem rozbudził się, zjadł kawał czarnego żołnierskiego chleba i, zapaliwszy fajkę, zaczął chodzić po szczupłej stancyjce.

Chodził długo. Już w forcie winiarskim wszystkie światła zgasły, a jeszcze jego ciężkie kroki rozlegały się wśród cichej nocy.

Niebo tymczasem zaciągnęło się lekkiemi chmurkami, a ciepły, rzęsny deszcz wiosenny uderzył z pluskiem grubych kropli w ziemię.

Zatrzepotał się wtedy na grzędzie olbrzymi kałakut i zapiał na tę zmianę swym grobowym głosem.

Dzieszuk drgnął i nagle stanął. Stał przez chwilę, potem zarzucił stary lejbik, czapkę nacisnął na uszy i wyszedł, przyciszając kroku.

Nazajutrz kucharka księdza Wursta podniosła okrutny lament. Ulubiony kałakut nowego proboszcza leżał wyciągnięty tuż pod żerdzią, która mu za grzędę służyła. Grube jego, pierzem obrosłe nogi sterczały skulonemi pazurami wysoko do góry, szyja była skręcona, przy silnym dziobie nieco krwi zaschłej.

Była to zapewne „szwabska krew".

Gustaw Zieliński.

WIELKOPOLSKA SKARBNICA ZABYTKÓW PRZESZŁOŚCI.

GOŁUCHÓW I JEGO ZBIORY.

Na pierwszy plan wśród magnackich rezydencji wielkopolskich, mających zbiory o muzealnem znaczeniu wybija się Gołuchów, znany dobrze uczonym i miłośnikom sztuki, o którym szerszą jednak publiczność mało lub też nic prawie nie słyszała. W numerze więc poświęconym Wielkopolsce nie można pominąć milczeniem tej wspaniałej skarbnicy zabytków przeszłości, które mimo burz i kolei, jakie nasz kraj przechodził, w polskich zebrane zostały rękach.

Gołuchów leży w Wielkopolsce, o półtorej godziny drogi od stacji kolejowej Pleszew i tyleż od Kalisza, i jest obecnie własnością ks. Czartoryskiego, właściciela znanego muzeum w Krakowie.

Kto zna dawno zapomniane Wspomnienia Wielkopolski, Edwarda Raczyńskiego, to pamiętać w nich musi opis gołuchowskiego zamku, pobieżny, ogólnikowy, ale przy rysunku Konstancji hr. Raczyńskiej, dający wyobrażenie o stanie, w jakim się ten zamek znajdował w roku 1843. Była to jak z tego widać ruina. Przez dziurawy dach lała się woda do środka, śnieg się sypał do sal przez rozbite okna, ale całość mimo tego wszystkiego, miała imponujący charakter. Wielokątne wieże, obejmujące i przecinające jej wysokie ściany, zachowały wybitne cechy stylowe, zbliżone bardziej, jak w znacznej części naszych polskich zamków, do niemieckiego niż francuskiego renesansu. W podwórzu arkady na kolumnach, a wewnątrz marmurowe oprawy kominów herbami, dewizami i rzeźbami, świadczyły o dawnej świetności.

Gołuchów był prastarą siedzibą wielkiego w Rzeczypospolitej rodu Leszczyńskich, ale w inne ręce przeszedł już w XVII w. i ani z królem Stanisławem, ani z cichą a tak miłej dla nas pamięci królową francuską, żoną króla *bien aimé*, nie miał nic wspólnego. Rafał Leszczyński zaczął budowę zamku, którą syn jego Wacław kanclerz koronny dokończył. Po Wacławie, żonatym z Anną Rozdrażewską, przechodzi Gołuchów w posiadanie możnej wielkopolskiej rodziny Rozdrażewskich, również skoligaconej z pierwszemi magnackiemi rodami Francji. Po nich, liczni inni właściciele posiadali Gołuchów i przerabiali go nieraz na swój własny użytek: należeli do nich między innymi Przyjemscy, grający niepoślednią rolę w Rzeczypospolitej. Przeszły od tej daty trzy wieki, *grande mortalis aevi spatium!* Czas co wszystko niszczy i wszędzie, jak na starej monecie, pierwotny stempel zaciera, zamienił zamek w ruinę, a jednak dwuch tych rodów napisy i dwa te godła herbowe uszanował na jego budowie.

Hrabina Janowa Działyńska, wnuczka i imienniczka tej Izabelli z Flemingów, generałowej ziem podolskich, która pierwsza u nas, wyprzedzając swój czas i epokę, myślała o zebraniu pamiątek ojczystych i gromadziła w Sybilli puławskiej zabytki sztuki, urodzona w Paryżu, w centrum ogniska artystycznego życia, wychowana w wspaniałym hotelu Lambert, z wcześnie rozbudzonym artystycznym instynktem, zaczęła sama gromadzić dzieła sztuki i tworzyć zbiory, które wkrótce nabraly szerokiego i europejskiego rozgłosu. Nieodrodna córka ks. Adama, marzyła tylko o tem, aby zbiory te przenieść do kraju i znaleść dla nich godne związane z przeszłością siedlisko. W tym celu nabyła niezbyt daleki od Kurnika Działyńskich położony Gołuchów, podniosła z gruzów starą budowlę, zapomnianą w tem ustroniu, wśród wielkiego cienistego lasu. Sama kierowała całą restauracją przy pomocy dwuch artystów francuzów. Wyrobiła całą szkołę miejscowych naszych własnych, polskich kamieniarzy, stolarzy i od roku 1875, w przeciągu lat dziesięciu, dźwignęła w całości skończony zamek w dzisiejszym jego stanie, aby pomieścić paryskie zbiory.

A zbiory to pierwszorzędnej wartości; opisywali je niejednokrotnie nasi i zagraniczni uczeni.

Każda komnata jest cennem i małem muzeum. Wiele potrzebowalibyśmy i czasu i miejsca, gdybyśmy chcieli w szczegółach wszystko opisać. Brak miejsca staje nam na przeszkodzie. Zwrócimy więc tylko uwagę na najcenniejsze zabytki, tych iście królewskich zbiorów. Zaraz na wstępie, w sali, stanowiącej przedsionek, zwraca uwagę szlak mozajkowy z hypokampów i gryfów, czarnych i czerwonych na szarem tle, nabyty w Sienie, przypominający sławny pawiment sieneńskiej katedry.

W następnej sali o prześlicznie belkowanym suficie, o ścianach obitych jedwabną pąsową materją ze złotemi smokami i lwami, oddrzwia na-

wpół rzeźbione w drzewie, a nawpół kute w żelazie, o prześlicznym średniowiecznym rysunku. Na okapie wielkiego renesansowego komina błyszczy złocisty ołtarzyk ze św. Anną, trzymającą Marję z Dzieciątkiem na kolanach. Wyżej cztery niewielkie Arrasy z pierwszej połowy XV wieku, a obok kilka obrazów.

Boiserje i renesansowe kredensa sali jadalnej należą do najpiękniejszych wyrobów tego rodzaju, jakie renesans francuski wydał, i były publikowane przez Cezara Daly w jego *Ornements d'Architecture*. Dwie ściany są zawieszone wspaniałemi gobelinami, pochodzącemi z zamku Radzyńskiego na Podlasiu. Jedną z ścian aż po sufit zajmuje wspaniały portret Stanisława Augusta w koronacyjnym stroju, pędzla Bacciarelego. Nad drzwiami do salonu wisi najdrogocenniejszy klejnot: Welasquez; portret jakiejś infantki hiszpańskiej, przypominający sławną infantkę Małgorzatę w Luwrze, nie gorszy od niej i blaskiem swym i życiem przyciągający oczy, jak magnes.

W sali następnej obrazy przeważnie szkoły holenderskiej. Zatem, Rembrandt z pierwszej epoki mistrza, przedstawiający chatę wiejską na tle łuny zachodu z podpisem i rokiem 1623. Następnie Ruisdaël, Van derNeer, Pollenburg i Flinck, jeden z najlepszych uczniów Rembrandta; ciekawy portret Zygmunta Starego pędzla Halsa i wspaniale rzeźbione drzwi, przedstawiające: Stworzenie Adama, Stworzenie Ewy, Grzech Pierworodny i Wygnanie z Raju.

Najwspanialszą jest jednak bez zaprzeczenia komnata sypialna. Jasne drzewo, kolor blado niebieski i stare złoto tworzą w niej jeden ton. Wyobraźmy sobie czasy, kiedy młody Zygmunt August miał za życia ojca zaślubić młodziutką córkę cesarza Ferdynanda. Leszczyńscy przygotowali wszystko na jej przyjęcie. Sprowadzono najdrogocenniejsze tkaniny z Flandrji, skóry prasowane i meble z Wenecji, a z Florencji bronzy, aby królowa czuła się u siebie. Z czasem dodano do tego najbardziej charakterystyczne okazy z drugiej połowy stulecia i stworzono wnętrze, które świadczy nam dzisiaj o całej epoce. Znaczną część ścian zajmują Arrasy z XV, w. — późniejszy nieco z popiersiem Chrystusa błogosławiącego kielich, wznosi się w ramach nad prześlicznym marmurowym kominem. Między oknami wspaniała, drewniana, malowana statua patronki królowej Elżbiety, pochodząca z jednego z norymberskich kościołów. Między obrazami, zwraca szczególniej uwagę wielki portret samej Elżbiety Austryjaczki, wykonany prawdopodobnie dla Zygmunta Augusta w 1542 r. Najwspanialszą jednakże tego przybytku ozdobą jest olbrzymie królewskie łoże. Pochodzi prawdopodobnie z Wenecji i należało do jednego z wodzów przewodniczących w bitwie pod Lepantem. Z grupy nagich amorów wyrastają na czterech rogach gięte kolumny uwieńczone płomieniem. Na oparciu, pod wielką koroną, widzimy wyrzeźbiony tryumfalny wjazd wodza do rodzinnego miasta, a pod nim, również jak od frontu, walki z Turkami. Wszystko to wypukłe, pełne życia i całe we wszystkich swych częściach pokryte tą starą, matową pozłotą, która nie rzuca się w oczy, ale swym królewskim tonem imponuje.

W innych salach, prócz licznych cennych obrazów, na szczególną uwagę zasługują starożytne bronzy i marmury. Przepyszny bronzowy biust Adrjana, głowa marmurowa Liwji, płaskorzeźba z Bachusem, nie mówiąc o innych, a wszystko to w otoczeniu wspaniałych, stylem do otoczenia zastosowanych mebli.

Pozostaje nam jeszcze do zwiedzenia muzeum, mieszczące się w salach parteru. Najcelniejszą jego ozdobę, nie mówiąc o bogatych rzędach polskich, broni, klejnotów, jest gabinet rycin, emalje i wazy greckie, które stanowią główną podstawę zbiorów gołuchowskich.

Są tu najpiękniejsze Albrechty Dürery; Mateusz Zeisinger, Łukasz Cranach, Burgmeier i inni. Z polaków Jeremiasz Falch i Daniel Chodowiecki oraz współczesny mu Norblin. Żeby poznać dobrze i ocenić tych trzech tak niepospolitych artystów, trzeba ich widzieć w Gołuchowie.

Ale rycina jest szara i bezbarwna. Emalja daje nam barwę. Jest ona tem w stosunku do innych artystycznych technik, czem drogi kamień w stosunku do innych kamieni. Zbiór gołuchowski posiada jej wszystkie okazy. Są wielkie medaljony, przykrywy do naczyń, całe naczynia, misy, tace, portrety na blachach i tryptyki, a na tem wszystkiem kompozycje z pisma św. i mitologiczne podług wzorów Rafaela i innych mistrzów.

Waz greckich, najwspanialszych i najlepiej zachowanych, tak świeżych jakby wyszły wczoraj z warsztatu garncarza, jest w zbiorach tych kilkaset sztuk. Możemy na nich śledzić cały rozwój tej sztuki, od najdawniejszych czasów, od epoki geometrycznej, do najświetniejszego jej rozwoju, ornamentu figuralnego. Niektóre z tych naczyń, pokryte bachicznemi i ofiarnemi scenami, są tak pełne religijnego nastroju, i tej idealnej zadumy

w rysach i ruchach postaci, że przypominają najpiękniejsze grupy fryzu Fidjasza w ateńskim Parthenonie.

Z tego krótkiego i pobieżnego coprawda opisu zauważyć się jednak daje, jak sądzimy, dość jasno, jakie bezcenne, pierwszorzędne dla dziejów sztuki skarby kryją się w Gołuchowie. Ryciny, emalje i wazy greckie, możemy studjować tutaj, nie znając innych zbiorów i nie opuszczając Gołuchowa. Stanowią one tego zamku jeśli nie największe, to w całości swej najbardziej zaokrąglone bogactwo.

Jan Bełcikowski, pporucznik.

SIEDEM DNI TWORZENIA WOLNOŚCI POLSKIEJ W POZNANIU.

Dzieje wyzwolenia Poznania i Księstwa Poznańskiego od Niemców, pod względem wrażeniowym należą do cudów, zaś ze stanowiska historycznego pokrywa je jeszcze tajemnica ruchu wolnościowego wogóle. Tylko na tle tej mocy tajnej, która obaliła trzy cesarstwa—kolosy, da się należycie wyświetlić i pojąć historja upadku i wygnania rządu niemieckiego z dzielnicy Wielkopolskiej.

Dla scharakteryzowania owych dni pamiętnych zajrzyjmy do dzienników prasy poznańskiej.

Już same tytuły artykułów, które się pojawiły w dni owe na łamach pism w stolicy wielkopolskiej świadczą iż rezultat ostateczny walk siedmiodniowych w obrębie grodu Przemysława znacznie przewyższył wszystkie plany pierwotne bojowników. „Paderewski w Poznaniu. Knowania Hakaty. Zaburzenia wskutek prowokacji niemieckich. Zerwanie sztandarów koalicyjnych. Strzały na Bazar. Polacy przywracają spokój. Krew na ulicach Poznania.“

Oto tytuły.

A oto pierwszy komunikat N. R. L. z dnia 27. 12:

„Dzisiaj rozpoczęli niemieccy 6 pułku grenadjerów ekscesy, które musiały wzburzyć spokojną dotąd ludność polską. Pod wieczór pojawił się w domu N. R. L. oficer z oddziałem żołnierzy, którzy mieli ze sobą karabin maszynowy. Grożąc siłą, wtargnęli oni do biur Komisarzy i pozdzierali chorągwie angielskie, francuskie i amerykańskie, które wywieszono na cześć Komisji angielskiej. Następnie pomaszerowali żołnierze na Plac Wilhelmowski i rozpoczęli tutaj ogień z karabinów i kulomiotów na hotel Bazar, w którym mieszka Paderewski z żoną i Komisja angielska. Żołnierze polscy zrazu nie odpowiadali na ogień. Członek komisarjatu chodził między żołnierzami polskimi i wzywał ich do spokoju, zakazując strzelać. Kiedy ogień nie ustawał i po stronie polskiej byli ranni, odpowiadano także ze strony polskiej na ogień. Przedstawiciel niemiecki Rady żołnierzy w prezydjum policjji Blaukertz zjawił się w hotelu Bazarze i oświadczył wobec Komisarzy N. R. L., że niepokoje sprowadzić należy jedynie do prowokacji żołnierzy 6 pułku grenadjerów, których sprawcy surowo będą ukarani. Między żołnierzami polskimi i niemieckimi postanowiono następnie zaprzestać walki. Obie strony miały cofnąć swoje wojska. Mimo to żołnierze niemieccy strzelali dalej.“

— „Wówczas, — uzupełnia komunikat Kurjer Poznański, — udała się delegacja, składająca się z członków misji angielskiej i reprezentantów polskich, do Komendy generalnej celem pertraktacji dla zachowania spokoju. Pertraktacje były daremne, gdyż generał komenderujący Bock v. Polach oświadczył, iż nie posiada władzy nad żołnierzami niemieckimi.

Wobec takiego stanu rzeczy Straż Ludowa poczęła zarządzać kroki zapobiegawcze przeciw szerzeniu się zamętu i gwałtów, obsadzono szereg ważnych punktów w całem mieście. Żołnierzy spotykanych z bronią, a bez legitymacji, rozbrajano, tak w mieście, jak i na dworcu, który obsadzono, tak samo pocztę, komendę generalną, prezydjum policji i t. d.

Straż Ludowa ma zupełną władzę w mieście.“

Z powyższego widzimy, iż na razie ani N. K. L, ani inne organy społeczne, ani nawet oddziały wojskowe polskie nie przypuszczały iż w dziewięć dni później nie tylko Poznań zostanie oswobodzonym, ale i pierwsza stolica prastara Piastów, Kruszwica.

Wspominając o tych dniach wielkich należy też uczcić wspomnieniem i tych, którzy w dni owe najbardziej czynną odegrali rolę.

Do takich należał w pierwszym rzędzie, ówczas podchorąży, obecnie ppr. Stanisław Rybka.

Rozumiał on, że nie samą bronią możemy tak silnego wroga zwalczyć, ale trzeba dopomódz do zwycięstwa naszym i dyplomacją.

Nie tylko kompanje uzbrojone wysyłał, ale umiejętnie zredagowanemi komunikatami a także zamaskowanemi depeszami szerzył strach śród Niemców.

Oto jego własne opowiadanie o zdobywaniu Gniezna.

„Z Gniezna i innych okolic — opowiada ppor. Rybka — umieściłem natychmiast w prasie wiadomość zwycięską (chociaż jeszcze zwycięstwa nie było), co podziałało przygnębiająco na Niemców.

Do Rady żołnierzy niemieckich w Bydgoszczy, aby nie pospieszyła na pomoc do Gniezna wysłałem telegram w języku niemieckim tej treści:

Do Rady żołnierskiej w Bydgoszczy:

Trzy tysiące polskich żołnierzy ochotników i dwie baterje z ciężkiemi działami oraz jeden szwadron kawalerji w drodze na Gniezno. Dalsze polskie posiłki na Gniezno w pochodzie. Z naszej strony radzimy gorąco nie wdawać się w walkę, aby zaniechać rozlewu krwi. Podpisano: Rada żołnierska w Poznaniu".

Fakt znamienny, Ledwie pierwsze strzały dnia 27 grudnia padły na Placu Wolności, tegoż wieczora jeszcze przybyły z Kórnika i ze Śremu kompanje ochotnicze złożone przeważnie z włościan. Przewodzili tym kompanjom Sylwester Gabrych i Alfred Milewski podchorążowie.

Z temi posiłkami, ze Strażą Ludową pospołu, zdobyto stopniowo: forty Raucha, Grellmana, fort Kellwerk, koszary trenów, ułanów a także najtrudniejsze do zdobycia koszary saperów, których obrońcy, Niemcy, poprzysięgli raczej zginąć, niż się poddać.

Wreszcie ostatnia poddała się Ławica ze swoją stacją lotniczą.

Dnia 4 stycznia komunikowała prasa poznańska:

„Ze źródła miarodajnego dowiadujemy się, że pertraktacje z niemiecką załogą stacji lotniczej w Ławicy są w toku i na dobrej drodze. Miastu nie grozi z tej strony najmniejsze niebezpieczeństwo."

Mieczysław Jarosławski.

ODWET DRZYMAŁY.

(Z cyklu nowel „Powstała...")

Lwów drgał ostatnim wysiłkiem bohaterskiej woli. Długie zimowe miesiące nadludzkich zmagań się z podstępnym wrogiem, który, niby zarazą tchnące powietrze, wdzierał się po łup do wschodniej stolicy Polski, stargały już do reszty nerwy obrońców i bronionych, znieczuliły ich na śmierć i mękę powolnego konania, zobojętniły na płacz i jęk mrących z głodu sierot.

Zbrodnicze watahy ukraińskie ścisnęły zwartem koliskiem stary gród polski, a odwróciwszy się ku niemu tyłem, najeżyły bagnety i noże na zachód, zkąd mogła jeszcze nadejść jakaś cudowna odsiecz.

A w cud taki nie przestawali wierzyć ukraińcy, nie przestawali go się bać, a więc wzmacniać: podwajać, potrajać swe siły, aby się onemu cudowi przeciwić.

I naraz, niby na subtelnych promieniach wiosną tchnącego już słońca, szlakiem niebieskim przeleciała ponad głowami dzikich hord mołojców, czy też przez brudną ciżbę ich kureni tajemniczo przedarła się wieść radosna — cud...

...Idą Poznańczycy...

Jak stado śnieżnopiórych gołębi wieść ta spadła na kolumnę Mickiewicza, a hołd należny gieniuszowi Polski oddawszy, rozpierzchła się szlakami łamanych wzgórzystych ulic, i obsiadając kopuły odwiecznych świątyń polskich, uderzyła w dzwony.

...Poznańczycy idą!..

Napełniły się serca wdzięcznością, załzawiły się wypatrujące wciąż oczy, ręka broń mocniej ścisnęła, a ten, kto dotąd jeszcze w szeregach zbrojnych nie stawał, wzmocnił dziś piersią swoją zagrożone placówki.

Czekano strzałów na tyłach ukraińskich.

Tymczasem od zachodu dążyły na odsiecz pułki Poznańczyków.

Dawno już nie widziała Polska takiego wojska. Zahartowany w trudach wojennych, poważnie i dziarsko patrzący przed siebie żołnierz szedeł z wiarą w zwycięski swój oręż.

I nie omylił się, bo pod naciskiem jego ugięły się zbolszewizowane bandy ukraińsko-niemieckie i cofały się w panice.

* * *

Dobrze jeszcze było ciemno, a już w drugiej kompańji jednego z pułków poznańskich życie wrzało w całej pełni. Narazie miało się naprzód wysunąć kilka podjazdów, aby zbadać okolicę i złapać języka. Dwaj przyjaciele, wach-

mistrz, Marcin Drzymała i kapral, Józek Korzec rozmawiali jeszcze półgłosem, oczekując rozkazu wyruszenia. Oddział, na czele którego stał Korzec, miał się posunąć w prostej lińji groblą, a docierając do wsi Mosty, położonej tuż nad Dniestrem, zbadać w jakiej ilości znajduje się przewidywany tam nieprzyjaciel. Natomiast zadaniem oddziału znacznie większego, który prowadził wachmistrz Drzymała, było przedostać się od południa na lewą stronę rzeki, aby tam ukryć się w zasadzce.

Inne podjazdy otrzymały mniejwięcej podobne zadania do wykonania. Po tem przygotowaniu główny korpus pułku miał około południa posunąć się możliwie szeroko rozwiniętą, a okalającą Mosty lińją jaknajbliżej ku rzece, a w razie możliwości przedostać się jaknajszybciej na drugą jej stronę.

Jakkolwiek zadanie strategiczne pułku nasuwało wiele ciekawych i ryzykownych niespodzianek, to jednak nie mogło przezwyciężyć apatji dwuch przyjaciół. W tej też sprawie ugwarzali się zcicha przed rozstaniem.

— Głupia rzecz taka partyzancka zabawa — narzekał Drzymała.

— A jo, jeżeli się ma do czynienia z takimi tchórzami, jak ta banda ukraińców. Od tygodnia siedzimy im już na karkach, a w łapach jeno nam te psie ogony ostają — potakiwał Korzec.

— I poco tu było leźć, dyć i sami im rady dadzą.

— Jak nas tu będą pchać, to nie wiem kto tych juchów prusaków u nas wydusi.

Wachmistrz zachmurzył się na te słowa przyjaciela, zębami zgrzytnął, garście potężnie zacisnął, a splunąwszy dorzucił zawzięcie:

— A mam ja tam takiego prusaka, którego mus sprzątnąć, bo nie umrę.

— To ten, co waszym oćcom bez lat dziesięć na wozie kazał mieszkać?

— A jo, von Ehrenschutz, niby lejtnant teraz. I bez to mi gębę prał całą wojnę, a w Warszawie nawet tej pary polskiej nie dał puścić.

— To radziście go ułapić?

— Juścić, i odpłacić mu za wszyćko, bo mi się we Warszawie cichaczem wymknął.

Tymczasem dano sygnał do odjazdu, i Korzec, siadając na konia, rzucił rezolutnie:

— Góra z górą się nie zejdzie, a człowiek...

Resztę słów zagłuszył tupot kopyt końskich. Oddział pocwałował ku Mostom. Po półgodzinnej jeździe nieopodal wsi żołnierze zeszli z koni i cichaczem podsunęli się ku opłotkom. Absolutna cisza zdawała się mówić o tem, że we wsi było zupełnie pusto. Podjazd już był się zapuścił pierwszemi dozorami w środek ziejących ponurą pustką chałup, gdy naraz jakiś podejrzany ruch zmusił go do skupienia się. Od strony grobli zbliżała się spora gromadka jeźdzców. Kapral cofnął pośpiesznie swych ludzi ku stodole. Jeźdźcy nieprzyjacielscy ominęli podjazd polski i wysunęli się groblą w kierunku pułku poznańskiego.

— Wyjechali na zwiady — pomyślał Korzec, a upewniwszy się, zaryzykował dotrzeć do przeciwległego końca wsi.

Dosiedli koni i stępa, unikając miejsc więcej oświetlonych, zbliżali się ku młynom, ponuro wyciętym na tle jaśniejącego nieba. W dużym murowanym domu tuż ponad stawem migało nikłe światełko, zaś na podwórcu panował ruch ożywiony. Najwidoczniej gotowano się do odjazdu. Z ilości ludzi i koni kapral wymiarkował, że musiała to być niewielka secina, osłaniająca teraz odwrót. Tą samą drogą Korzec wracał do swoich, szykując się zaatakować widziany przed chwilą patrol. Ale zaledwie ruszyli końmi, gdy kawalkata cwałujących jeźdzców zagrodziła im drogę. Usunąć się nie było czasu, a i nieznany teren, szarzejący wokoło wodą, nie pozwalał na to. To też, strzelając, na karkach końskich oparci, jeźdźcy polscy cisnęli się naprzód i jak burza przedarli się przez żywą ścianę wroga, który, przepłoszony nieoczekiwanem spotkaniem, nie zdążył stawić oporu. Dobrze już się odsadzili, kiedy klacz Korca wylękniona jakimś przydrożnym cieniem skoczyła w bok, a zwalając się z grobli, runęła w bagnisko i przytłoczyła ciężko swego jeźdźca. W tejże chwili zaalarmowana strzałami wataha nieprzyjacielska wyskoczyła na drogę, a poznawszy znikomą ilość atakujących, rzuciła się w pogoń za nimi. Wywiązała się walka, bo i podjazd polski, zatrzymany wypadkiem, stawił zacięty opór. Przeważająca jednak ilość ukraińców zasypała drogę gradem świszczących, niby osy, kul i skłoniła go do pośpiesznego odwrotu. Na polu walki pozostał jęczący pod ciężarem konia Korzec. Sprowadzony przed oblicze komendanta seciny nie chciał dać żadnych zeznań i wobec tego natychmiastowym wyrokiem jego skazany został na rozstrzelanie.

Świtało już dobrze, kiedy oddział hajdamaków dosiadał koni, aby ujść na drugą stronę Dniestru. Kapral, przywiązany tuż obok młyna, czekał spokojnie na wykonanie wyroku, choć nie tracił jeszcze nadziei, że uda mu się z tej opresji jakoś wywinąć. To też rozglądał się w tej tragicznej chwili, aby czasu nie tracić i zebrać te wiadomości o siłach wroga, dla zasięgnięcia jakich go tutaj wysłano. Przekonał się teraz, że liczebność ukraińców mniejszą była niż początkowo przypuszczał, że uzbrojeni byli doskonale, choć kiepsko odżywiani i różnorodnie odziani sprawiali wrażenie bandy zbójeckiej. Musiała to być jedna z tych licznie rozrzuconych na opanowanej ziemi polskiej band, której zadaniem było grabić, niszczyć, i żywić się łupem. Słyszał już o kilku takich grasujących komendantach—zbójach, to też chciał się dowiedzieć z ręki którego miał za chwilę zginąć. Jakiś mołojec porał się tuż obok ze swoim wyładowanym zdobyczą workiem, przytraczając go do siodła, więc Korzec zagadnął go niefrasobliwie:

— Jak się nazywa wasz ataman?

Ukrainiec spojrzał na niego z pogardą i rzucił chełpliwie:

— Steńko. Dużo dobryj niemiec.

— Steńko?— pokiwał znacząco głową kapral, bo słyszał już wiele o zbójeckich hecach tego watażki. — A po niemiecku jak będzie?

— A bis jego widaje... Jerenszuc...

Korzec aż zadrżał z radości i rozglądał się wytężonym wzrokiem naokoło czy nie zobaczy gdzieś zbliżającego się oddziału wachmistrza Drzymały, aby mu tę radosną wiadomość oznajmić, ale miast potężnej sylwetki swego przyjaciela ujrzał znienacka tuż poza sobą wydłużoną postać lejtnanta.

— *Du verfluchter Polake!**) chcesz żebym ci życie darował, to powiedz ilu was jest?

— Ano starczy, panie Ehrenschutz, same poznaniaki, znajome... I zaraz tu będzie z nimi wachmistrz Drzymała, to może pan zaczeka, on ma panu coś ważnego do powiedzenia.

— Was?! — odskoczył lejtnant, usłyszawszy dobrze znajome sobie nazwisko —Tschymala?!

— A juści, tylko go patrzyć i jabym ci to samo powiedział, gdybyś mnie kazał odwiązać.

— A co ty wiesz? — uśmiechnął się złośliwie von Ehrenschutz.

— A no, żeś pan był jego przyjacielem, i w Poznańskiem i tam, w Warszawie. Jenoś mu uciekł bez pożegnania... To ci ma za złe i szuka ciebie. Juścić, jako jego przyjacielowi i mnie należą się od ciebie jakie takie względy.

— No ja, — patrzył bazyliszkowym wzrokiem lejtnant na kaprala. — Ja umiem nagradzać przyjaciół moich przyjacieli, — a odwróciwszy się z jakimś wyrafinowanym zamiarem w stronę mołojca, rzucił mu rozkazująco:

— Rozbierz tego draba, ubranie możesz wziąć sobie. A jego posadź tu koło szluzy, na mostku i przywiąż dobrze, żeby go raki tak zaraz nie zżarły.

Zbój ukraiński przy pomocy swych kamratów szybko wypełnił rozkaz atamana, który zaniepokojony nagle powstałym ruchem w obozie oddalił się od miejsca przeznaczonego na kaźń kaprala.

Wyrozumiał ten nagły popłoch i skazaniec, więc żal mu się zrobiło życia, które miał tracić w chwili nadejścia odsieczy, a zapewne i porażki bandytów. Nie zapomniał jednak użyć fortelu, aby szanse swoje na ratunek poprawić. Kiedy go wiązano, tak naprężył i rozdął mizerne swoje ciało, aby ręka skrępowana wraz z tułowiem mogła się potem z uścisku sznura uwolnić.

Zamęt i popłoch śród ukraińców wzmagał się coraz widoczniej. Na strzelistej liniji grobli, rzuconej śród trzęsawisk, ukazały się forpoczty wojsk polskich. Ukraińcy dosiadali już koni, kierując się pośpiesznie ku mostowi na Dniestrze. Zbiry tak byli przepłoszeni nagłem zjawieniem się Polaków, że zapomnieli o swej ofiarze, pozostawiając ją losowi. A los ten, choć narazie ziębił marcowem powietrzem obnażone członki kaprala, to jednak dawał mu nadzieję, że śmierci ujdzie.

Jakoż, niespodziewanie, u przyczółka mostu ozwały się pierwsze strzały i podniosłem uczuciem radości wypełniły serce Korca. I możeby krew pod tem wrażeniem żywiej zaczęła krążyć w jego żyłach, gdyby nie nagły szum wzrastającej w kanale wody, a wraz z nim i dotkliwy ziąb spienionej fali, zalewającej mu stopy i wzrastającej z zadziwiającą szybkością. Korzec struchlał. Niemiec najwidoczniej kazał podnieść szluzy prowadzące kanałem wodę z Dniestru. Straszna śmierć przez zatopienie w lodowatym nurcie zbliżała się prędzej, niż mogła przybyć pomoc. Wody wzbierały w kanale coraz szybciej i żywiołowo pędziły naprzód ku szluzom u młyna, aby je wyrwać, przelać się przez groblę, zatopić wieś i w ten sposób odciąć zbliżającego się nieprzyjaciela od mostu na Dniestrze. Szluzy ujściowe nie były podniesione. Woda rwała z zawrotną szybkością, a podmywając zawzięcie mnichy na mostku i tłukąc się wściekle o boki grobli zalewała już najbliższe pola. Za chwilę, wzrastając z potworną szybkością, cisnęła się na mostek, na którym siedział Korzec i dzikim impetem zakołysała nadgniłe belki. Zsiniały żołnierz szarpał się w przedśmiertelnej rozpaczy, usiłując uwolnić się z krepujących go powrozów. Rękę jedną wprawdzie uwolnił, ale woda zacisnęła skręty na nogach tak dotkliwie, że, pomimo iż mu skostniały, czuł piekący ból wrzynających się sypłów i marł w lodowym uścisku spuszczonego z uwięzi żywiołu. Tymczasem walka u przyczółka mostu wzmagała się coraz bardziej: To wachmistrz Drzymała, który zdążył obejść nieprzyjaciala od tyłu i zagrodzić mu jedyną drogę odwrotu, teraz, widząc zbliżające się forpoczty pułku, a jednocześnie pragnąc zatrzymać opanowaną lękiem bandę zbirów, ukryty ze swoim oddziałem w zaroślach, prażył ją i cofał z powrotem ku zalanej już wsi. Na zagrożonym powodzią terenie znaleźli się jednocześnie ukraińcy i ofiara ich atamana, kapral Korzec, przedzieleni wązkim przesmykiem kanału. Rozlew wody szybko przybierał. Spienione lodowate fale bulgotały teraz wysoko ponad powierzchnią sadyb chłopskich, dosięgając ich dachów. Grobla zalana była całkowicie, a Korzec wyrwany wraz z palem mostu, do którego był przywiązany, unosił się w zawrotnym wirze nad jej powierzchnią. Skostniały, posiniaczony, zaplątany w zaciśniętych rozmiękłych powrozach ostatnim wysiłkiem świadomości borykał się z sięgającą mu do gardła śmiercią. Tymczasem z przeciwległej strony wsi dotarły już oddziały polskie, lecz powstrzymane zalewem, stąd plunęły już ogniem karabinowym, kierując go na leżące na wygórzu cmentarzysko, kędy wycofał się odparty od mostu wróg.

Korzec, unoszony na powierzchni zburzonych wód dawał jeszcze jakieś rozpaczliwe znaki, a walcząc z nurtem, usiłował zbliżyć się do kępy najwyższych sterczących ponad wodą wierzchołków

*) Ty, przeklęty lachu!

drzew i z przerażeniem czuł, że fala unosi go ku wzgórzu, na którem śród krzyżów i kamieni mogilnych szukała dla siebie ratunku przetrzebiona wataha ukraińska. Ale wachmistrz Drzymała zdawał się nie dostrzegać rozpaczliwych znaków swego przyjaciela, bo całym nagle rozbudzonym instynktem zemsty cisnął się w walkę z hajdamakami, którym przewodził poznany przez niego wróg jego śmiertelny — von Ehrenschutz.

Aż dopiero któryś z jego żołnierzy zwrócił mu uwagę na borykającego się z żywiołem Korca. Drzymała usłyszał przeraźliwy krzyk:

— Ratujcie! — ja, Korzec...

I widział jak zawrotny wir unosił osłabłe ciało przyjaciela do stóp wzgórza, gdzie wróg na nie czyhał, bo stamtąd już w kierunku Korca świstały rozwścieczone kule. W piersi potężnego chłopa zawrzała walka uczuć: miłości i nienawiści, lecz trwała krótko. Wachmistrz cisnął karabin, zzuł buty, a zrzuciwszy pas i kurtę, skoczył w spienione ziębiące fale. Pływak był dobry, a rozgrzana walką i uczuciami krew dodawała mu sił i bohaterskiej odwagi. Potężnemi ramiony pruł sine wzburzone bałwany z taką mocą, że po krótkiej chwili już dosięgał martwiejącego ciała przyjaciela.

Poznał go, widać, dawny przełożony lejtnant von Ehrenschutz, bo wzmożony świst ołowiu, niby rój nagle rozjątrzonych os, zawirował tuż nad ich głowami. Ale Drzymała nie widział już nic i nie czuł niebezpieczeństwa; jedno owładnęło nim pragnienie, jednem już tylko uczuciem drgało silne serce: uratować przyjaciela. Uchwycił wirujący na powierzchni wody sznur i przyciągnął wraz z palem przywiązanego doń kaprala. Uśmiech dziwnej słodyczy rozchylił skostniałe usta skazańca: był uratowany. Jeno kule żołdaków von Ehrenschutza nie chciały jeszcze tego potwierdzić.

Drzymała pod tym ołowianym deszczem zdążał wraz ze swym ciężarem ku najwyższej kępie drzew, która jakby cudem jakimś wyrastała nagle coraz wyżej. Naraz wachmistrz poczuł grunt pod nogami, wody ustępowały szybko, niby ten nurt zawrotny okiełznała dłoń niewidzialna i skierowała upokorzony w normalne łożysko. Wkoło wyrastały chaty, drzewa, opłotki, ogrody, a groblą już sunęły ku cmentarnemu wzgórzu najeżone szeregi bagnetów. Salwy dopędzały salwy i kule, złym sykiem prując powietrze, kąsały rozsypanego w ucieczce wroga. Za chwilę ku przyjaciołom podbiegli żołnierze i zajęli się ratunkiem kaprala. W uspokojonym wachmistrzu zawrzała znów krew powrotną falą nienawiści i cisnęła go naprzód, aby dać ujście uczuciu zemsty.

Marcin Drzymała, niby opętany jakąś dziką niesamowitą żądzą, biegł naprzód pomiędzy groby, aby odnaleźć śród nieboszczyków tego, który za chwilę z woli jego mściwej miał stać się również trupem.

I odnalazł go. Wciśnięty za krzyżem drewnianym pomiędzy krzaczaste nizkie drzewa, ukrył się lejtnant von Ehrenschutz, szczękając w przerażeniu żółcizną długich końskich swych zębów na widok olbrzymiej postaci swego mściciela.

— *Raus!* — wrzasnął Drzymała, zmierzając w pierś wroga bagnetem. Lejtnant wyskoczył z kryjówki i błyskawicznym ruchem wyciągnął rewolwer. Huknął strzał i świsnęła kula, przeszywając lewe ramię Drzymały. Rażony wściekłym bólem chłop rozmachem karabinu roztrzaskał ramię przeciwnika i broń wytrącił mu z ręki. Ale nie chciał tu z nim skończyć, nie chciał krwią plugawą obryzgać tych miejsc wiecznego spoczynku, więc jeno pchnął go kolbą raz i drugi i popędził w kierunku mostu na Dniestrze, kędy salwowały się teraz resztki podległych mu zbirów. Lejtnant, widząc przed sobą nagłą drogę ratunku, nie czekał, jeno wyciągał jak mógł długie bocianie swe nogi. Ale zawzięty chłop nieustępliwie jechał mu na karku, aż na most wpędził i tu na krawędzi, ponad siną lodowatą falą, zastępując mu drogę z groźbą strasznego wyroku w ciskających piorunami źrenicach, na miejscu osadził a jednem pchnięciem zbolałego ramienia w spieniony nurt strącił.

— Za pruski wóz Drzymały poznaj polską jego łódź!

Zabulgotała woda raz i drugi, wyrzuciła jeszcze ciało, zawirowała rozkrzyżowanemi ramiony i na dno bezpowrotnie porwała.

* * *

W kilka dni potem o południu, śród rozbłysków wiosennego słońca, wkraczała w mury starej wschodniej stolicy Polski bohaterska kompańja poznańska. Lwów okrzykami niemilknącej radości witał wybawców swoich. Wozami ambulatoryjnemi zdążali ranni żołnierze. W jednej z tych budek z pod uchylonego płótna widniały dwie twarze junackie.

— Juścić, żem się go pozbył, to mi i ta radość milejsza...

I tą radością przyjaciela i wyzwolonego grodu zarówno jaśniały oczy kaprala Korca.



ROK IX. WARSZAWA, DNIA 15 STYCZNIA 1920 ROKU. Zeszyt I—II.

ILUSTRACJA POLSKA
„PLACÓWKA"
(dawniej „WIEŚ i DWÓR") — DWUTYGODNIK.

Dodatek aktualny.

ARMJA I NARÓD.

W urzędowych przemowach w dzień noworoczny, w rozważaniach prasy wobec roku pierwszego Niepodległości, składano młodej armji naszej hołdy, prawiono komplementa.

Te odświętne, sentymentalne wynurzenia są wiernem odbiciem wzajemnego związku armji z narodem.

Stosunek nasz do wojska pozostaje nadal obrzędowy, uroczysty i łzawo patrjotyczny. Równocześnie skąpi się żołnierzowi wszystkiego. Powinności wojenne wypełnia społeczeństwo z tajoną niechęcią, biernym oporem, niby przymus twardy, obcy i niemiły.

Nie ogarniamy armji naszej ogromem miłosnej opieki, nie zapalają czyny jej w sercach naszych płomieni entuzjazmu i radosnej dumy, nie dźwiga nas w długie noce z wygodnych pościeli piekąca troska o żołnierza bosego i obdartego, nie pali pragnienie poświęcenia armji ostatniej koszuli i ostatniej radości.

Kochamy armję zbyt platonicznie!

Ostatecznie nie na tem polega tragedja zarysowującego się rozdźwięku między armją i narodem.

Tak, godzimy się niewątpliwie wszyscy na jedno: że armja jest dziś tarczą, ostoją i obroną bytu państwowego, że za jej stalowym murem może naród w spokoju i pogodzie ducha rozpocząć budowę nowego życia, że wojnę jeszcze prowadzić należy.

Natomiast brak całkowity zrozumienia i poparcia dla tych zadań, które stanowią istotę krwawego znoju armji, jego piękno i wartość narodową.

Rozwija się dziś przed nami przedziwne zjawisko rodzenia się nowej epopei bohaterstwa polskiego. Czyny orężne uderzają hymnem potężnym. Miecz polski wykreśla granice ojczyzny, ustala jej przyszłość i zewnętrzne losy. Żołnierz nasz na ostrzu bagnetów niesie wolność sąsiednim ludom.

W heroicznym tym wysiłku armja jest niemal osamotniona.

Nie płynie ku niej zapał i żar patrjotyzmu, nie znajduje oparcia w kamiennej mocy wytrwania ogółu, nie prowadzi jej na drogi czynu naród, któryby dążył świadomie do swych celów. Natomiast na tyłach jej rozlewa się w państwie grzęzawisko upodlenia, szaleje wyuzdana orgja użycia, szerzy się zaraza niemocy i bezwładu i słychać wrzask agitatorów, judzących tłumy przeciw wojnie.

Posępną tragedję osamotnienia armji wyjaśnia nam fakt, iż w wojsku skupiły się — całe męstwo, wszystka tężyzna i najcenniejsze elementy narodu. Przerasta ona o wiele poziom społeczeństwa. Tu w duszach walczących żołnierzy tworzy się nowa Polska.

Niedolę, braki i głód zniesie żołnierz wytrwale, choć z uczuciem żalu ku swemu społeczeństwu. Lecz nie zapomni on nigdy, gdyby jego sny o potędze, jego czyn, załamały się wobec tępej obojętności narodu, wobec braku z jego strony patrjotycznego porywu i wysiłku.

Gdyby armja nie mogła z winy narodu spełnić swych zadań, gdyby wróciła do kraju z rozpaczą w sercu — wyryta zostałaby między nią, a społeczeństwem niezapełniona nigdy przepaść. Jak wiecznie krwawiąca rana paliłaby sumienie narodu pamięć o tem, iż nie okazał on swej armji poparcia, iż nie odpowiedział zadaniom jej i wartości.

Dlatego trzeba poruszać koniecznie serca i wołać w głuche uszy już nie tylko o pomoc i opiekę dla żołnierza, lecz o rozbudzenie ducha w narodzie.

Niech rozpalą się w duszach łuny entuzjazmu, niech roztworzą się radośnie dla armji serca braterskie. Naród i armja wytworzyć muszą całość zwartą i jednolitą, o jednakim porywie zapału i poświęcenia, o jednakiem natężeniu woli i mocy.

Powiedzie wówczas wojsko łatwiej swój naród ku potędze i sławie i stworzy dlań przyszłość świetlaną. *K.*



POLSKA IDZIE.

OBRAZKI.

Polska idzie! Tak. A wśród orszaku zauważyliśmy p.p. Wajchertów, Walzów i Żaboklickich...

Idzie Polska otoczona zgrają. Zgrai tej nie omieszkamy przecież dać poczesnego kącika na szpaltach naszego pisma.

Dziś chcemy przedewszystkiem zapoznać czytelników z tym trzecim z powyższej czcigodnej trójcy, pobieżnie wspomniawszy o dwu pierwszych, z działalnością których a szczególniej pierwszego z nich, prasa już społeczeństwo bliżej zapoznała.

Jak było do przewidzenia — nie pociągnęło to następstw, które w uczciwem społeczeństwie musiałby jednak napiętnowany ponieść.

Ten *trzeci*, pokrywszy mgłą zapomnienia niedaleką swoją przeszłość, dziś, niby słonko, wychylił się z poza tej mgły i... promienie swe ziemi grodzieńskiej posyła.

Wiemy, że są w spektrze słonecznym, prócz ożywczych i zabójcze jakieś, zdaje się ultra... ultra... ach — ultra-czerwone promienie.

Biedna ziemia grodzieńska... rzadko kiedy pomiot jej dawał społeczeństwu ludzi dodatnich i pożytecznych. To też nieodżałowanej pamięci Eliza Orzeszkowa mawiała nieraz iż nad ziemią tą zawisło jakieś przekleństwo.

Słowa te, niestety, mają smutne potwierdzenie nietylko w przeszłości naszych dziejów, lecz i obecnie, gdy ludzie na których sumieniu ciążą czyny, nie licujące z prawością narodowej duszy polskiej, stoją u steru najodpowiedzialniejszych placówek społecznych i są nawet przedstawicielami miejscowego społeczeństwa wobec kraju, a co gorsze — pozwalają sobie zajmować stanowiska kierownicze w tak nieskończenie ważnej sprawie, jak wychowanie polskiej naszej młodzieży!

Ale przejdźmy do faktów.

Na wiosnę 1917 r. zmagały się dwa rywalizujące ze sobą dążenia polaków, rzuconych siłą wypadków politycznych poza wschodnie granice Polski. Jedna grupa, obdarzona jakby jasnowidzeniem, parła do stworzenia silnej armji polskiej przez wydzielenie wszystkich polaków z wojsk rosyjskich, by dać krajowi tym sposobem, na kresach wschodnich, potężną siłę zbrojną, liczącą około pół miljona żołnierza.

Druga — kierowana przez siły nam wrogie, składające się z organizowanych przez żydów, nieraz za pomocą złota, polskich przewrotowców, rosyjskich polakożerców i tychże żydowskich stręczycieli anarchizmu — dążyła, nie przebierając w środkach do sparaliżowania i unicestwienia usiłowań pierwszej.

Któż nie zna całej nikczemnej roboty osławionego p. Walza (polak) z Warszawy, bohatera awantur w białgorodzkim pułku, który pierwszy podniósł hasło buntu w szeregach polskich żołnierzy przeciw oficerom, by zaprowadzić tam bolszewickie komitety żołnierskie.

Lub komuż obcem jest nazwisko słynnego p. Wajcherta, który, pragnąc zdezorganizować oddziały I Pol. Korpusu, nietylko urządzał wiece i mityngi, mające na celu zdemoralizowanie żołnierza polskiego i wprowadzenie bolszewickich komitetów żołnierskich, przy jednoczesnem usunięciu oficerów, lecz nie wahał się z bandami, złożonemi z żydów i polskich odszczepieńców, poparty przez bolszewików, wtargnąć do polskich koszar wojskowych i tam głosić hasła Trockich i Leninów, szczuć żołnierzy na oficerów i wzniecać wzajemną nienawiść, by tym sposobem osiągnąć swój cel haniebny.

Piszący te słowa patrzał na to wszystko i był naocznym świadkiem tego.

Plonem tej niecnej roboty, jak wiadomo, były bratobójcze walki w Witebsku i w innych miejscowościach Rosji.

Owi Walze i Wajcherty, dziś żyją sobie spokojnie u nas w kraju, jak u Pana Boga za piecem, nie pociągnięci do odpowiedzialności za ich czyny, ba nawet, jak Wajchert dopuszczeni do państwowych stanowisk w rządzie polskim. (Wajchert pracuje w ministerstwie ochrony pracy i robót publicznych).

Prócz tych „działaczy“ o pewnym rozgłosie, mamy jeszcze innych, podobnych im, nie mniej szkodliwych, których robota zręcznie prowadzona, zdołała zachować *incognito* jej sprawców, w skutkach jednak, jako potajemna i skryta, bodaj że jeszcze bardziej szkodliwą była niż owych jawnych agitatorów.

Do tej kategorji „cichych pracowników“, należał właśnie p. Antoni Żaboklicki, polak, adwokat przysięgły z Grodna.

Znalazłszy się, jako oficer rezerwy, w armji rosyjskiej, wybrany następnie jako delegat żołnierzy polaków na zjazd w Petersburgu, zwalczał namiętnie ideję stworzenia armji polskiej, a rywalizując o lepsze ze wszystkiemi żywiołami żydowsko-międzynarodowemi, potrafił zyskać sobie tem taką w tych kołach popularność, iż wybranym nawet został na prezesa Komitetu Głównego lewicy Zjazdu wojskowych polaków.

Gdy po długich dyskusjach i mowach, wygłaszanych na temat za i przeciw tworzeniu armji polskiej w Rosji, zapadła uchwała większości żeby armję tworzyć, potrzeba jej bowiem była koniecznością, wybrano komisję aby w przeciągu 3 dni wypracowała memorjał w tej sprawie do ówczesnego wielkorządcy Rosji — Kiereńskiego.

Pan Żaboklicki nie uznał za właściwe dla siebie i swojej kliki podporządkować się uchwale większości. Nie dość tego — nie zawahał się zaraz nazajutrz w południe potajemnie, skrycie

i podstępnie względem swoich, uzyskać specjalną audjencję u Kiereńskiego, uprzedzając złożenie wspomnianego memorjału.

Do pokrzyżowania planów przeciwnego obozu zażył Kiereńskiego nader sprytnie.

Wiedząc o jego zatargu z jednym z polskich posłów, wynikłym na tle przemówień publicznych, który miał się zakończyć pojedynkiem a od którego Kiereński się uchylił, pogłębił niechęć jaką Kiereński stale żywił do przedstawicielstwa polskiego i zdołał w niego wmówić, że akcja tworzenia armji polskiej jest robotą posłów i burżuazji polskiej, którzyby pragnęli w odpowiedniej chwili, na karkach żołnierza polskiego dostać się do Polski, zdusić przy jego pomocy wszelkie wysiłki wolnościowe i ugruntować reakcję, w następstwach zgubną i dla Rosji.

Kiereński podzielił poglądy Żaboklickiego i obiecał współdziałanie i pomoc, następstwem czego były trudności, stawiane na każdym kroku przez rząd, paraliżujące wszelkie poczynania w kierunku tworzenia armji polskiej.

Jeżeli więc nie powstała wówczas na kresach wielka armja polska, i jeżeli w chwilach, gdy Niemcy demobilizowali wojska polskie w kraju i na kresach, nie mieliśmy odpowiednich sił by temu się przeciwstawić, lwia część zasługi przypada tu p. Antoniemu Żaboklickiemu.

Dziś p. Żaboklicki jest delegatem ludności powiatu grodzieńskiego i występuje oficjalnie w jej imieniu, przyjeżdżając do Warszawy, prócz tego jest prezesem Rady Szkolnej w Grodnie i jako taki wywiera wpływ na kierunek wychowawczy młodzieży polskiej.

Tego, kto wchodził w konszachty z naszymi wrogami, kto zasługuje więc na miano działającego na szkodę ojczyzny, kto był sprawcą wielu, wielu późniejszych naszych nieszczęść, dziś w kraju darzą zaufaniem?

Jakież mamy społeczeństwo i jakież mamy władze?

A może ja jestem w błędzie, więc proszę mi to dowieść.

W. Z.

Ś. p. gen.-porucznik Stanisław Dubiski.

W bitwie pod Bobrujskiem zginął generał Dubiski; pierwszy z generałów wojsk polskich złożył w wojnie obecnej swe życie w ofierze ku chwale Ojczyzny.

Znałem go od lat trzydziestu jako oficera gwardji rosyjskiej, gdzie prądy autokratyczne były szczególniej silne, gdzie każdą indywidualność ścierano pod jeden strychulec.

Położenie oficerów polaków było w owe czasy bardzo ciężkie; polskość negowano zupełnie, tolerowano zaledwie katolicyzm oficerów; rząd dążył stale do „rozpolaczenia katolicyzmu"...

Trudno było w tych warunkach zachować duszę narodową, a nawet godność osobistą; a jednak potrafił to gen. Dubiski; spokojny, taktowny, wzorowy służbista wzniecał on szacunek mimowolny wśród najbardziej zagorzałych rosjan, pozostał polakiem i wiernym synem kościoła przez cały czas służby w szeregach armji rosyjskiej, biorąc udział wybitny w wojnie wszechświatowej.

Wybiła nareszcie godzina wyzwolenia Polski; gen. Dubiski bez wachania pozostawił w Rosji rodzinę i przy pierwszej możliwości przyjechał do kraju w celu wstąpienia do tworzącej się armji polskiej.

Zaproszony do formacji poznańskich, zorganizował on szybko dzięki swej wiedzy, doświadczeniu i pracy wytężonej bitną dywizję wielkopolską, z którą ruszył wkrótce ku wschodnim rubieżom Polski dla walki z zarazą bolszewicką; prowadzeni umiejętnie przez mężnego dowódcę, odnieśli wielkopolanie szereg powodzeń bojowych, odrzucili wroga aż za Berezynę, na której wstrzymano zastępy polskie.

Zabezpieczenie frontu wymagało jednak zdobycia pewnego przedpola na wschodnim brzegu rzeki; zajął się tem gen. Dubiski, kierując osobiście z narażeniem życia operacją bojową; niestety, była ona już ostatnim czynem dzielnego generała; rażony kulą z kulomiotu przy kontrataku bolszewików padł on śmiertelnie zraniony i zmarł wkrótce mężnie, spokojnie, troszcząc się do ostatniej prawie chwili o działania bojowe na froncie.

Niech mu ziemia ojczysta lekką będzie!

Generał Michaelis.

Słówko o „Wieczorach oficera polskiego".

W sali malinowej hotelu „Bristol" odbywają się co pewien czas t. zw. „Wieczory oficera polskiego" pod protektoratem p. Heleny Paderewskiej.

Nic nie mamy bynajmniej przeciwko owym „wieczorom", na czele organizatorek których stoi czcigodna małżonka jednego z najpierwszych naszych wodzów narodowych, musimy jednak zwrócić uwagę na pewien szczegół nie licujący ze stanowiskiem oficera polskiego.

Bo jakiegoż to *protektoratu* potrzebuje oficer polski? Do jakiej protekcji ma sięgać i na co mu ona potrzebna? Wejść na zabawę może wszak bez protekcji, gdyż mundur oficerski i wykupiony bilet dają mu na to prawo.

Protektorat, protekcja, to zawsze jakby rodzaj łaski, której przecież oficer polski przyjąć nie może. Wogóle, darzenie łaską pociąga za sobą ze strony przeciwnej, zazwyczaj takie nie licujące z godnością, oficera praktyki, jak uniżoność lub śmieszne, przesadne świadczenie swego uszanowania. Oficer zawsze powinien być grzecznym i dżentelmenem na każdem miejscu i względem każdego, szczególnie zaś rycerskim w stosunku do dam i osób słabszych, nigdy jednak uniżonym i płaszczącym się. Nie winimy tu bynajmniej wielce szanownej pani Paderewskiej, która przy szerokiej ofiarnej swej pracy, zasługującej na prawdziwe wyróżnienie i wdzięczność społeczeństwa, może nie zwróciła uwagi na ten z po-

zoru drobny a jednak ważny szczegół, lecz wina w tem największa jej najbliższego otoczenia, które widać nie chciało dostrzedz i zrozumieć że biernością swą pod tym względem największą szkodę wyrządza właśnie tej, którą tym tytułem darzy i krzywdzi ambicję, wnikającego głębiej w sprawę, oficera polskiego.

Jak w sąsiedztwie rosnącego w lesie grzyba znajduje się zazwyczaj drugi „bratem" popularnie zwany, tak i obok jednej niewłaściwości, zazwyczaj i drugą „siostrzaną" znaleźć można.

Oko ciekawego czytelnika natrafia w „Kurjerze" na ogłoszenie o „Wieczorze oficera polskiego"... czyta najpierw listę gospodyń w alfabetycznym porządku, przechodzi następnie do listy gospodarzy... Ale tu już jest inny porządek: najpierw generałowie, potem (przeważnie utytułowani) cywilni gospodarze, w końcu — porucznicy.

Co to za podział?

Czyżby w „Białym Krzyżu" wśród wytwornego szeregu pań, układających listę gospodarzy, nie znalazło się ani jednej która by na niewłaściwość takiego stopniowania uwagi nie zwróciła?

Doprawdy, nie do uwierzenia...

Albo więc, ponieważ zabawa ma charakter prywatny, układa się listę w porządku alfabetycznym, nie czyniąc żadnych różnic między tytułami, rangami i stanowiskami, albo też, ponieważ dużo wojskowych różnych rang jest gospodarzami, układa się listę z podziałem na dwie kategorje: 1) osób wojskowych i 2) osób cywilnych. W pierwszej kategorji zachowuje się wówczas porządek ściśle podług rang, w drugiej — alfabetyczny.

Ale po generałach dawać osoby cywilne w alfabetycznym porządku od A do Z a później, jakby traktując *en canaille,* wszystkich poruczników, to doprawdy nieposzanowanie nietylko tych rang niższych lecz i tych wyższych nawet, które wśród takiego, już nawet delikatnym językiem mówiąc, conajmniej naiwnie chaotycznego podziału zmusza się figurować.

Bo proszę rozwiązać zagadkę, czem jest gorszy, czy też na niższym szczeblu socjalnym stojący, czy kwalifikacjami niższy od utytułowanej, czy nie utytułowanej osoby cywilnej — porucznik, który być może widział krwią czerwone pole walki, gdy tamci być może oglądali tylko zielone pole walki... przy przy stolikach w klubie.

A w końcu — logicznie i konsekwentnie biorąc: gdyby który z tych poruczników zrzucił mundur i stał się cywilną osobą, byłby wymieniony w kategorji osób w kolejności bądź co bądź wyróżnionych, zatem, jak widać, mundur porucznika obniża kwalifikacje społeczne i towarzyskie tego kto ma szczęście nosić go i szczycić się nim.

Nie tędy droga sz. panie! Przez niedopatrzenie, nie zastanowienie się, nie zauważenie, nie przywiązywanie wagi do *takiej drobnostki* nie czyńcie dalej tych niestosowności wobec oficerów polskich. Nie miałyście ich przez długie szeregi lat, dziś stoją przed wami i po rycersku salutując proszą o poszanowanie munduru.

PAŹ ZŁOTOWŁOSY *).

Nie interesowałbym się specjalnie „Paziem złotowłosym" p. Teresy Łubieńskiej, żebym nie znał już wszystkich jej utworów, które poetka przed pierwszym swym debiutem w „Placówce" do oceny na moje ręce złożyła.

Przygotowana na *łamanie skrzydeł,* innego jednak przyjęcia doznała, gdyż istotny talent jej obezwładnił wszelkie narzędzia tortury i pozwolił zwycięsko wyjść z pierwszej próby ogniowej.

Nie chciałbym jednak żeby poetka łudziła się, że dalsze jej kroki na niwie literackiej znajdą szlak kwieciem usłany... na niejedną gałązkę cierniową zapewne natkną się nieraz jej stopy, lecz nie trzeba się tem zrażać i należy dążyć dalej odważnie z wiarą w swe siły, ze skrzydłami silnie do lotu rozwiniętemi, bo cierpieć i walczyć to piękna dola poetów.

Niema chyba dziewczęcia, któreby nie roiło czarownych snów o paziu złotowłosym...

Z sennych też marzeń wybujał jak kwiat polny przed dziewczęciem z bajki p. Teresy Łubieńskiej—cudny paź złotowłosy...

I widzimy tych dwoje zakochanych wśród pachnących oddechem wonnego kwiecia pól, szmaragdowych kobierców łąk i leśnych kniei...

Snuje autorka bajki swej sen dziwny, zajmuje swem opowiadaniem, a przedewszystkiem z szczerem odczuciem natury maluje plenerowemi barwami cykl sielskich obrazków, z których płynie ku nam powiew, pełen życia, dyszących aromatycznie łanów, łąk i lasów, spowitych pieszczotą słonecznych promieni...

Z uniesieniami erotycznemi walczy bohaterka autorki z początku dość wytrwale—tęskni tylko i marzy miłośnie, jednak na ocknięciu, w chwili gdy z srebrzystej pajęczyny bajkowej ku rzeczywistości nieubłagana dłoń losu ma już ją sprowadzić, poddaje się z rozkoszą pieszczotom swego pazia złotowłosego... a czyni to z pełnią sił życiowych i subtelnością czystej natury kobiecej, łącząc jednocześnie szczerość zdrowego porywu z ujmującą w oddaniu się czarowi uczucia prostotą.

Myśl przewodnia bajki jest dość przejrzysta: autorka pragnie walczyć z przesądami, których pleśnią pokryty mur winien się rozsypać, skoro tylko padną nań złote promienie miłości.

Miłość w wyznaniu swem powinna być odważna i podnieść musi śmiało przyłbicę swą przed światem, choćby to nawet miało być wyzwaniem.

Może niektóre fragmenty bajki są zbyt rozwlekłe i grzeszą przez to, chwilami pewną monotonją (n. prz. o starej cygance), może gdzieniegdzie jeszcze jest znów jakieś niedociągnięcie w linji lub też w ujęciu przedmiotu, niemniej jednak walory, o których wspominałem, każą wierzyć, że autorka posiada talent rzetelny, który jeszcze silniej wyrobi się i rozwinie, o ile nie wpadnie w kleszcze modnych dziś stręczycielek grzechów śmiertelnych poety: Megalomańji i jej nieodrodnej przyjaciółki — Licencji Poetyckiej.

Jest fantazja, są chwile głębszej refleksji, jest pełne prawdy, szczere odczucie natury, jest zdrowie w uczuciu, które niedopuszcza stylizowanych rachityczności i połamanych w tabesoidalnej linji—nad... zwyczajności.

Wiersz płynie gładko, śpiewnie i harmonijnie, jest prosty i nie wymęczony. Brak jeszcze w pewnym stopniu gdzieniegdzie, opanowania środków artystycznych, lecz wysoce dodatnie dane, któremi rozporządza dziś talent autorki w krótkim czasie i tę trudność przezwyciężą.

Nową autorkę warto poznać i bajkę przeczytać.

„Pazia" zdobią piękne ilustracje, wykonane przez cenionego artystę-malarza p. Jerzego Kożuchowskiego.

Wydanie książki wytworne, rzadkie w dzisiejszych wydawniczo-drukarskich stosunkach, gdy cena składania i druku uniemożliwia wszelki wysiłek w kierunku podniesienia poziomu artystycznego naszych wydawnictw książkowych i perjodycznych. *W. Ziel.*

*) Teresa Łubieńska — „Paź złotowłosy",— wydanie nakładem autorki — Warszawa — skład główny Gebethner i Wolff.

Praca oświatowa w formacjach wielkopolskich.

Praca oświatowa w wojsku wielkopolskiem rozpoczęła się po utworzeniu przez Główne Dowództwo Sekcji Naukowej. Działalność jej natrafiła narazie na przeszkody z powodu braku środków i odpowiednich ludzi. Praca i organizacja zaczęły posuwać się naprzód z chwilą objęcia kierownictwa Sekcji przez podpułkownika Seydę. Dzieliła się ona na wydziały: I-szy Historyczno-Wojskowy z Muzeum, II-gi Regulaminów i III-ci Kulturalno-oświatowy (K. O.). Energiczny i pełen zapału szef tego wydziału ppor. Aldon Paszkiewicz przy pomocy kaprala Z. Gruszczyńskiego zdołał w ciągu trzymiesięcznej pracy zorganizować działalność oświatową stosownie do tutejszych warunków. Przygotowano program pracy oświatowej, instrukcję dla K. O. i program kursów. Ażeby można było zawsze zapobiedz niedomaganiom, dotyczącym personelu niezbędnego, przygotowano także projekt etatu w formacjach. W celu większego skupienia sił i rozpatrzenia nagłych, niecierpiących zwłoki potrzeb żołnierza wielkopolskiego, zwołano Zjazd kierowników Oświatowych armji wielkopolskiej.

Zjazd rozpoczął się 2-go października ub. r. w starej sali bazarowej. Zagaił go Głównodowodzący — generał Dowbór-Muśnicki, a dalszym zaś obradom przewodniczył generał Zieliński, dowódca O. Gen. Podczas 5-cio dniowych obrad panowała zupełna wolność słowa.

Dyskusja nad projektami przedstawionemi przez Sekcję Kult. Oświatową dowiodła pilnej potrzeby zrealizowania ich. Przedstawiciel wyższej władzy wojskowej, generał Zieliński i przedstawiciel Dep. Nauk. Szkoln. w Warszawie pan Korniłowicz, przyrzekli ku ogólnemu zadowolnieniu wszystkich uczestników Zjazdu swe poparcie.

W pamięci obecnych pozostaną przemówienia generałów Dowbora-Muśnickiego, Zielińskiego i Wroczyńskiego.

Zjazd uświetniły wykłady filozofa prof. Lutosławskiego, majora Dienstl-Dąbrowy, doktora Kozłowskiego i ppor. Paszkiewicza, którzy wyczerpująco przedstawiali program dalszej pracy nad podniesieniem poziomu duchowego żołnierza wielkopolskiego — traktując to z punktu widzenia psychologicznego. Podkreślić należy zgodność wywodów i myśli co do odmiennego traktowania żołnierza byłego zaboru pruskiego,— niż żołnierza innych zaborów.

Żołnierz wielkopolski ufa, iż piękne słowa na Zjeździe K. O. w Poznaniu wypowiedziane szybko, w czyny się zamienią. Wtenczas będzie on gotów, jak olbrzym bronić zagrożonych rubieży swej ukochanej ziemi. Niechaj nikt o tem nie zapomina, że żołnierz wielkopolski dotychczas zawsze zwyciężał i bronił najwięcej zagrożonych zakątków kraju.

Dla wprowadzenia w życie powziętych projektów, dzięki poparciu szefa sztabu Dowództwa Głównego, generała Wroczyńskiego, Rada Naczelna przekazała wydziałowi K. Ośw. 300000 marek. Od tej chwili rozpoczął się okres pracy pozytywnej. To też wyposażono formacje wielkopolskie w najniezbędniejsze podręczniki szkolne oraz bibljoteki ruchome. Głównym zamiarem jest bowiem wykorzystanie czasu służby wojskowej żołnierza, celem kontynuowania tutaj tak rozpowszechnionego samokształcenia. *Lech.*

Kalendarzyk wojenny.

16 grudnia. Na całym froncie działalność patroli wywiadowczych.

17 grudnia. Na odcinku Disna—Połock szereg naszych nagłych wypadów. Przy wypadzie na froncie wołyńskim, na zachód od Białokorewicz wzięto 7 karabinów maszynowych i 70 jeńców.

18 grudnia. Wypad oddziałów naszych w okolicy Kuleszy, przyczem wzięto kilkudziesięciu jeńców i 3 karabiny maszynowe.

19 grudnia. Bolszewicy bezowocnie próbowali sforsować Dźwinę na południe od Połocka. Przy wypadzie na miejscowość Kamień wzięto jeńców i 1 działo.

20 grudnia. Śmiały nasz wypad na Krasnołuki, wzięto 14 jeńców.

21 grudnia. W okolicy Krasławia oddział nasz przedostał się na północny brzeg Dźwiny ,rozbił nieprzyjaciela i, wziąwszy kilkunastu jeńców wrócił na dawne stanowiska.

22 grudnia. Oddziały nasze dokonały szeregu pomyślnych wypadów w okolicy Koplau, Drui, przy ujściu rzeki Wiaty i pod Połockiem. Wzięto 50 jeńców, w tem 1 oficera i materjał telefoniczny.

23 grudnia. Ataki bolszewickie w rejonie Karpenicz odparto.

24 grudnia. Na odcinku Dźwiny, na południe od Połocka wzięto w walkach patroli kilkudziesięciu jeńców i dwa karabiny maszynowe. Przy wypadzie na Romanów, na froncie wołyńskim, zdobyto karabin maszynowy i kilkanaście karabinów.

25 grudnia. W okolicy Koplau i Pridrujska oddziały nasze wykonały wypady na północny brzeg Dźwiny. Pod Koplau oddział nasz zaszedł na tyły bolszewików, rozbił ich, biorąc dwa działa, 6 karabinów maszynowych, około 100 jeńców, w tem dowódcę baterji. W bitwie tej poległ dowódca oddziału podporucznik Jordan.

26 grudnia. Wypad nasz pod Krasławcem, przyczem wzięto kilkudziesięciu jeńców.

27 grudnia. W utarczkach patroli wywiadowczych nad Dźwiną wzięliśmy kilkudziesięciu jeńców. Wypad bolszewicki pod Dzisną odparto.

28 grudnia. Po silnem przygotowaniu artyleryjskiem przeszedł nieprzyjaciel na odcinku Połock—Luszna znacznemi siłami do ataku. Po dłuższej walce został jednak odrzucony na północny brzeg Dźwiny. Atak nieprzyjacielski w okolicy Lepla został również odparty.

29 grudnia. Odparto szereg silnych wypadów nieprzyjacielskich w okolicy Dzisny, na południe od Homla, na północ od Bobrujska i atak wzdłuż szosy mohylewskiej.

30 grudnia. Zostały udaremnione próby sforsowania Dźwiny przez nieprzyjaciela. Odparto ataki bolszewickie na Nowosiółki nad Berezyną i na odcinku poleskim.

31 grudnia. W okolicy Krasławia oddziały nasze dokonały kilku wypadów na północny brzeg Dźwiny, przyczem wzięto kilkunastu jeńców i 2 karabiny maszynowe. W pomyślnym dla nas wypadzie na wieś Kruszynki, na froncie poleskim, zginął ppor. Miecznikowski.

1 stycznia 1920 r. W ostatnich dniach zostały przez nasze wojska obsadzone Starokonstantynów, Płoskirów i szereg mniejszych miejscowości opuszczonych przez wojska Denikina.

2 stycznia. Utarczki oddziałów wywiadowczych.

3 stycznia. Bolszewicy zaatakowali odcinek na południowy wschód od Połocka, zostali jednak z wielkiemi dla siebie stratami odparci.

4 stycznia. Pomiędzy Drysą a Dzisną oddziały nasze przeprawiwszy się na wschodni brzeg Dźwiny, rozpędziły posterunki bolszewickie.

5 stycznia. Wojska nasze wespół z łotewskiemi pod wspólnym dowództwem gen. Rydza - Śmigłego zdobyły dnia 3-go stycznia o godzinie 13-ej miasto i twierdzę Dynaburg. Ze zdobyczy meldowano kilkuset jeńców, kilka dział z zaprzęgiem, kilkanaście karabinów maszynowych i liczny tabor kolejowy.

6 stycznia. Oddziały nasze i łotewskie posunęły się na północ i wschód od Dynaburga. Silne ataki bolszewickie na przyczółek mostowy Bobrujska krwawo odparto.

7 stycznia. Prowadzone przez bolszewików rozpaczliwe kontrataki przy pomocy świeżo przywiezionych wojsk celem odebrania Dynaburga, rozbiły się o opór naszych oddziałów.

8 stycznia. Oddziały nasże dokonały z przyczółka mostowego Bobrujska śmiałego wypadu; zniszczywszy dwa mosty kolejowe i znaczny tabor kolejowy wróciły na dawne stanowiska. Pozatem mniejsze walki.

9 stycznia. Odparto kontrataki bolszewickie na nasze pozycje na północ i wschód od Dynaburga. Na południe od Połocka nasze śmiałe wypady.

BIBLJOGRAFJA.

Władysław Umiński. W głębinach oceanu.—Warszawa, Gebethner i Wolff 1919 r. str. 355, w 8-ce z 6 rysunkami.

Lucjan Zarzecki. O idei naczelnej polskiego wychowania 1919 r. str. 45. M. Arct. Warszawa.

Antoni Bolesław Dobrowolski. — Podstawy ideologji polskiej 1919 r. str. 23. M. Arct. Warszawa.

Jan Wojnicz-Sianożęcki. Algebra w zakresie szkoły średniej część I, z 45 rysunkami w tekście str. 152. 1919 r. M. Arct. Warszawa.

Dr. S. Składkowski, major. Podręcznik hygieny wojskowej. Dla oficerów i podchorążych. Sztab generalny Oddział VII (Naukowy). 1919 r. str. 208. Nakładem M. Arcta. Warszawa.

Tadeusz Radliński. Geografja Polski. 1919 r. str. 172. M. Arct. Warszawa.

Janusz Domaniewski. Zoologja. Podręcznik dla szkół średnich str. 212. 1919 r. M. Arct. Warszawa.

Dr. Regina Fleszarowa. Nasze Góry. 1919 r. str. 29. M. Arct. Warszawa.

Lucjan Zarzecki. Nauczanie Matematyki początkowej. Część II.

Nauka o liczbie wymiennej. Wydanie III uzupełnione i powiększone. 1919 r. str. 140. M. Arct. Warszawa.

Zasady pisowni polskiej str. 12. 1919 r. M. Arct. Warszawa.

Mieczysław Jarosławski. Wojtek-Bolszewik. Nowela str. 16. Nakładem autora. Skład Główny: Polskie Stow. Wydaw. „Placówka" Warszawa, Nowy Świat 40. 1920 r.

Warunki prenumeraty wraz z przesyłką:

W stolicy i w kraju:	Rocznie Mk. 140 —	półrocznie Mk. 70 —	kwartalnie Mk. 35.
Za granicą:	„ . „ 160 —	. . „ . . „ 80 —	. . „ . . „ 40.



Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Nowy-Świat Nr. 40.

TELEFON 319-87 lub 9-87 (wojenny).

Redaktor Naczelny wydawnictw P. S. W. „P.“: **Walenty Zieliński.**

Współredaktor: **Gustaw Olechowski.**

REDUTA WINIARY W POZNANIU.

Dziedziniec.

Baszta.

Fot. M. Tykociński.

Teatr Wielki w Poznaniu.

Gmach Głównego Dowództwa w Poznaniu.

Druk GALEWSKI i DAU Warszawa, Ordynacka 6.